Nr. 18. Poznań, niedziela 3-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. i Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

STREJK pomocników malarskich w Poznaniu.

Ruch robotniczy słabym dotychczas odzywał się tętnem w naszych dzielnicach kresowych. Kraj przeważnie rolniczy, pozbawiony wielkich przedsiębiorstw fabrycznych i przemysłowego rozkwitu, nie przedstawia dla idei socyalistycznej warunków szybkiego rozwoju. Konserwatyzm ludu wiejskiego i nader silna religijność jego bronią przystępu tym prądom reformacyjnym, które jak wicher potężny porwały miljony pariasów na zachodzie Europy i pod hasłem: „Robotnicy wszystkich krajów łączcie się“, stworzyły olbrzymie organizacye samopomocy, torujące drogę emancypacyi pracy z pod ucisku kapitału. W przeciwieństwie jednak do wiejskiej chaty, która dotychczas wpływom socyalistycznym stawiła opór niemal bezwzględny, zdradzają większe miasta nasze coraz wyraźniejsze ślady tego ruchu.

Brak fabrycznego życia utrudnia wprawdzie i tu przystęp socyalizmowi, lecz powoli zdobywa on sobie teren w zawodowych towarzystwach robotniczych i przemysłowych, dając raz po raz silniejszy znak życia. W najświeższym czasie nawet usiłowano do Poznania przenieść redakcyę berlińskiej „Gazety robotniczej“, dla skuteczniejszego oddziaływania na warstwy ludowe prowincyi naszych, lecz projekt ten upadł, bo nie znalazł się w całem mieście ani jeden właściciel kamienicy, któryby zdecydował się udzielić gościny znienawidzonej rozsadniczce idei socyalistycznej. Mimo tej radykalnej opozycyi wyższych kół społeczeństwa, mimo konserwatyzmu i religijności prowincyi naszych, mimo znacznych wpływów duchowieństwa i braku życia przemysłowego, trudno jednak zaprzeczyć, że ruch robotniczy, importowany z zachodu, już się zagnieździł w Poznańskiem i Prusach Zachodnich i zdąża powoli lecz konsekwentnie do coraz silniejszego rozwoju. W chwili obecnej nawet rozgrywa się w miniaturowem wydaniu na bruku miasta naszego jedna z owych akcyi socyalistycznych, które w większych centrach fabrycznego życia stały się zjawiskiem zwykłem, a niesłychanie doniosłem, u nas natomiast dotychczas do nader rzadkich należą objawów. Mówimy o grożącem bezrobociu „pomocników i robotników malarskich“, sygnalizowanem już w niektórych pismach codziennych. W przekonaniu, że historya, sprężyny i dążenia tego strejku poznańskiego zainteresują czytelników naszych, postaraliśmy się o informacye dokładne w kołach pracodawców i robotników i dzielimy się poniżej z czytelnikami „Przeglądu“ materyałem zebranym.

Istnieje w mieście naszem zawodowe towarzystwo pomocników malarskich, lakierników i pozłotników, złożone w $^2/_3$ z Polaków. Na czele tej organizacyi stoi niejaki p. Pfeiffer, człowiek średnio-inteligentny i nader ruchliwy, a hołdujący idei socyalistycznej. Całe Towarzystwo zresztą w mniejszym lub większym stopniu posiada polityczną barwę prezesa swojego, chociaż barwa ta nie jest tak programowo zdecydowaną, jak w wielu organizacyach zawodowych Berlina i Hamburga, w Saksonii i na Górnym Szląsku. Stosunki zarobkowe w tej gałęzi pracy, którą reprezentuje towarzystwo, zbudziły już przed 5 laty myśl o wstąpieniu na drogę bezrobocia, celem zmuszenia pracodawców do ustępstw na korzyść robotników. Dla braku solidarności jednak rozbiły się wonczas starania przywódzców ruchu i dopiero teraz plan porzucony podjęty został powtórnie. Pan Pfeiffer, pouczony doświadczeniem dawniejszem, nie ufał już własnym wpływom i udał się z prośbą o pomoc do drezdeńskich organizacyi socyalistycznych, które posłuszne życzeniu jego, delegowały jednego z najwybitniejszych działaczów swoich, p. Frickego, celem przeprowadzenia poznańskiego bezrobocia. Usiłowania emisaryusza odniosły skutek pożądany, — Towarzystwo pod wpływem perswazyi i kuszących obietnic p. Frickego postanowiło żądania swoje zredukować wprawdzie do *minimum*, lecz przy tem *minimum* obstawać z całą zaciętością i w razie oporu pracodawców ogłosić strejk pomocników i robotników malarskich. Pretensye malkontentów są następujące: 1) Zmniejszenie dnia roboczego z $10^1/_2$ godzin do 10 godzin. 2) Podwyższenie *minimalnej* płacy dla pomocników malarskich z 30 fen. za godzinę na 35 fen. — dla robotników z 20 fen. za godzinę na 25.

Żądania te przedstawiono już pracodawcom i zadecydowano, by 16 maja wypowiedzieć robotę, a w razie oporu z dniem 1-go czerwca rozpocząć strejkowanie. Obliczenia robotników opierają się na obecnym ruchu budowlanym w Poznaniu, który znacznie większe niż w latach ubiegłych przyjął rozmiary, a tem samem powiększył popyt na pracę. W miesiącu czerwcu ruch ten będzie w pełni rozwoju swego i krytyczność momentu stanie się niewątpliwie poważnym atutem w dążeniach robotniczych. Zrozumieli to już niektórzy z pryncypałów, i nie czekając grosy bezrobocia, dobrowolnie przyjęli żądania Pfeifferowskiej organizacyi. Do radykalnej opozycyi jednak należy poważny zastęp mniej zamożnych przedsiębiorców, dla których najdrobniejsze podwyższenie płacy robotnikom stać się może klęską materyalną. Nie posiadając ani odpowiednich kapitałów, ani znaczniejszego kredytu, zakontraktowali oni na podstawie cen dawnych mnóstwo prac budowlanych, a tem samem każde zwiększenie wydatków, każde obniżenie przypuszczalnych zysków grozi zerwaniem naprężonej struny. Walka tedy rozegra się prawdopodobnie tylko między robotnikami i ekonomicznie słabszymi pracodawcami, a rezultat jej według naszej opinii będzie, mimo pozornych szans bezrobocia, niepomyślnym dla robotników. Zważyć bowiem wypada, że strejk tylko pod tym warunkiem rokuje powodzenie, jeżeli zasada solidarności przeszła w krew organizacyi zawodowych i jeżeli niemożliwem jest uzupełnienie sił strejkujących przez dopływ z bliższych lub dalszych okolic. Jedno i drugie przemawia na niekorzyść bezrobocia poznańskiego. Talent retoryczny panów Frickego i Pfeiffera wzbudził na razie entuzyazm i postanowienie solidarnej akcyi w rzeszy pomocników malarskich, lecz w krótkim stosunkowo czasie wszczęły się swary i rozluźniły się węzły. Czwarta część Towarzystwa, złożona przeważnie z starszych członków, jest już dzisiaj zdecydowaną do bezrobocia nie przystąpić, a reszta głosi wprawdzie na zebraniach, że z dniem 1-go czerwca zawiesi roboty, lecz nie manifestuje już dawnego zapału i w poufnych gawędach wytacza mnóstwo wątpliwości, wróżących brak siły opozycyjnej. Z drugiej strony nie ma najmniejszej nadziei, by miasteczka prowincyonalne zechciały solidaryzować się z ruchem stolicy, i pracodawcom uda się niewątpliwie z sił okolicznych skompletować przerzedzone szeregi robotników swoich. Strejk zatem w obecnych warunkach narazi, mimo pieniężnych subwencyi z Berlina, Magdeburga, Hamburga i Lipska, pomocników malarskich na post kilkutygodniowy, a skończy się prędzej czy później kapitulacyą.

Nie przypuszczamy też, by taki znawca

stosunków i rutynowany działacz socyalistyczny jak Fricke, nie przewidywał rezultatów poznańskiego bezrobocia, — sądzimy natomiast, że bystry emisaryusz nie tyle wierzy w finansowy sukces przesilenia, ile w agitacyjne znaczenie każdego strejku. Bezrobocie poniesie klęskę, lecz ruch robotniczy zyska niewątpliwie.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z powodu obrad sejmowych nad sprawą górnoszląską. „Nowiny Raciborskie“ zamieszczają od pewnego czasu szereg dobrze pisanych artykułów pt. „Obrachunek po obradach sejmowych. Zestawił Staropolanin“. Z artykułów tych cytujemy ustęp następujący.

„Powiedziałem, że z mów ministra pod młotem i mieczem p. majora Szmuli, ks. Wolczyka i reszty mówców nie pozostało nic, zgoła nic. Muszę to zdanie poprawić. Coś pozostało. Pozostała pamięć, że od rządu lud polski w swych żądaniach słusznych niczego spodziewać się nie może. Pozostało przeświadczenie, iż lud i jego obrońcy, tak szanowni posłowie z centrum jak i redaktorzy polscy, sami wywalczać sobie muszą swoją odrębność narodową, krzewić życie katolickie i język polski, oświecać ciemnych, utwierdzać słabych a uszlachetniać wszystkich. Posłowie solidarni, redaktorzy mężni i oględni, lud twardy i stały — oto trójka, która przyświecać będzie jako przykład i błyszczeć będzie jako gwiazda w naszej pracy na Górnym Szląsku. A otwarcie powiedzmy, że takiej stałości i oświaty ludowej, jaką posiada lud górnoszląski, nie posiada lud ani w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, ani w Galicyi, ani w Królestwie Polskiem, — nasze polskie gazety ludowe na Górnym Szląsku zaś spełniają swą powinność z całą skrupulatnością.

Ale też do tego ruchu narodowego już był czas najwyższy. Powiat po powiecie utraciliśmy na Szląsku dla polskości na rzecz germanizmu. Wszyscy nam stali na zdradzie, dopóki tej zdrady nie wykryła najpierw walka kulturna, a potem walka rasowa. Druga była prostem następstwem pierwszej. A jak z pierwszej lud katolicki wyszedł zwycięzko, tak z drugiej — przy mocy Bożej — zespoliwszy swe siły, wyjdzie zwycięzko lud polski.“

* * *

Poznańska oligarchja. Warszawski „Przegląd tygodniowy“ zamieszcza w korespondencyi z Poznania następujące uwagi o walnych zgromadzeniach rozmaitych Towarzystw i związków naszych (Czytelnie ludowe, Pomoc naukowa) odbytych w miesiącu marcu.

„Jak zwykle przy okazyi publicznych dyskusyj, wybuchały tu i owdzie antagonizmy, przeciwieństwa zdań, drobne utarczki, które wobec panujących u nas stosunków dość zaostrzonych, wywołują zawsze pewne wrzenie i stają się powodem polemik gazeciarskich a czasem i starć osobistych.

Śledząc przebieg tych ustnych czy drukowanych rozpraw, dochodzi się do przekonania, że jest u nas pewna garstka ludzi, która ster spraw publicznych ujęła w ręce, a ogromnej reszcie wprost prawa głosu i prawa wszelkiej kontroli zaprzeczać pragnie. Najniewinniejsze uwagi, najsłuszniejsze wnioski pochodzące z ust nieuprzywilejowanych, są powodem głośnego oburzenia i publicznych nagan. Wskutek przyjętego zwyczaju pozostawiania spraw publicznych pod dyskrecyonalną władzą kilku jednostek, walne zebrania stają się rodzajem przedstawienia, uroczystym popisem dorocznym, w którym wszystko jest z góry obmyślone i ułożone, role rozdane, przemówienia wyuczone i rezultat postanowiony zawczasu w łonie zarządu. Zdarza się czasem jakiś niespodziewany, nadprogramowy występ, który miesza szyki zręcznej reżyseryi, lecz wówczas urzędowa klaka, głośnem sykaniem przerywa niepożądane intermezzo. Takie małe zamieszanie powstało na walnem zebraniu Towarzystwa pomocy naukowej. Statuty przepisują, aby skład dyrekcyi odświeżał się corocznie przez zmianę pięciu członków. Paragraf ten jednak jest już od dość dawna martwą literą, gdyż nazwiska osób ustępujących z zarządu, są do ostatniej chwili tajemnicą dla stowarzyszonych. Z tej przyczyny, ci ostatni co do wyboru nowych kandydatów porozumieć się nie mogą i przybywają na zebranie całkiem nieprzygotowani. Gdy przychodzi do wyborów, dyrekcya proponuje, by w uznaniu zasług ustępujących kolegów, powierzono im na nowo opróżnione urzędy, większość, nie mając żadnego lepszego projektu, przyzwala — i komedya wyborów kończy się zatwierdzeniem dotychczasowego składu zarządu. Tym sposobem, dyrekcya, zamiast wybieralnej, staje się dożywotnią i sprawuje rządy zupełnie samowładne. Tak np. na porządku dziennym walnego zebrania, stawia wprawdzie i „wnioski członków“, lecz zastrzega się, iż to będą „wnioski bez uchwał“. Znaczy to, iż pozwala zgromadzonym wygadać się do woli, lecz nie pozwala przyjść do jakiejkolwiek stanowczej konkluzyi. Dalej, drukuje wprawdzie nazwiska stypendystów, lecz drukuje je w lat pięć, co sprawia, że każdy z jej protegowanych ma dosyć czasu, by edukacyę ukończyć, zanim ktośkolwiek z osób interesowanych dowie się, iż wsparcie od Stowarzyszenia pobierał.

Nie ulega wątpliwości, iż taki sposób rządzenia jest niesłychanie wygodny dla dyrekcyi, lecz niezupełnie zadawalnia stowarzyszonych, wśród których zresztą krążą wieści, że między stypendystami znajdują się i jedynacy, synowie zamożnych rodziców, podczas, gdy zupełnie biedni petenci odbierają czasem odmowne odpowiedzi, uzasadniane brakiem funduszów.

Wobec tego, zadziwiać nie powinno, że na ostatniem walnem zebraniu odzywały się głosy żądające:

1-o Ogłoszenia nazwisk ustępujących członków dyrekcyi.

2-o Corocznego posyłania komitetom powiatowym wykazu nazwisk stypendystów.

Przeciw pierwszemu wnioskowi, dyrekcya broniła się argumentem dość naiwnym. Utrzymywała, iż nazwiska ustępujących członków chowa w tajemnicy, dla zapobieżenia agitacyi. Było to dosyć wyraźne przyznanie się do chęci zatrzymania urzędów na czas nieograniczony.

Mimo, że opozycya żądań swych nie przeprowadziła, samo wystąpienie jej poczytano za zamach na spokój publiczny i oskarżano jej przywódców o chęć podkopywania zaufania do zarządu. Jeszcze charakterystyczniejszym epizodem zaznaczyło się walne zebranie Tow. czytelni ludowych. Jeden z uczestników zwrócił uwagę na niezbyt stosowne dla niewykształconych czytelników, powieści tłomaczone z francuzkiego a znajdujące się w bibliotekach Towarzystwa. Równocześnie zaś polecał bardzo dobre książeczki dla rzemieślników, wydawane w Poznaniu. Ta skromna uwaga wywołała oburzenie nieomylnego

---

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

Iwan Matwijowicz Markowskij był obywatelem ziemskim na Podolu rosyjskiem. Długoby o tem mówić, w jaki sposób dorobił się tego obywatelstwa, ale dość, że dorobił się, kupił wioskę nad Dniestrem i w sile wieku będąc, osiadł w tej wiosce. Różnie też opowiadano i o tem, jak do posiadania owej wioski doszedł, ale nikt na pewno nie wiedział, a plotki ludzkie powtarzać — po co?

Nic mu nie brakło, nic. Wioska, choć niewielka, bo kilkaset morgów licząca, leżała w tej żyznej dolinie Dniestrowej, gdzie jeszcze dotychczas urodzaj nie chybia nigdy, gdzie winograd obradza obficie, kukurudza, od niepamiętnych czasów na tej samej glebie siana, zawsze jednaki bujny plon daje, pszenica złote ziarna sypie, a jęczmień perły rodzi. Na arbuzy i melony nie potrzeba inspektów — gdzie ziarno rzucisz, tam się ziemia szmaragdami kawonów pokrywa, błyszczy purpurą i złotem melonów. Chowa się na tej bujnej paszy i wodzie dniestrowej tuczne bydło, wełniste owce, a tak tłuste, że w jesieni nie są już w stanie nosić własnych „kurdiuków“, tylko pod nie kółka podkładać trzeba.

Wesoła, żyzna, piękna okolica, spływała w promieniach słonecznych, pełna skarbów i bogactw, aż do brzegów morza Czarnego.

Tylko Iwan Matwijowicz, śród tej wesołej przyrody był jakiś pochmurny i dostroić się do pogody, jaka go otaczała, nie mógł. Mówiono, że to już taka natura jego. Może być — różne przecież bywają natury — wesołe, gorzkie, smutne, on miał pochmurną.

Nie koniec jednak na tem. Kiedy kupował tę wioskę, Nenadychą zwaną, a działo się to w parę lat po krwawym i ciężkim roku 1863, był młodym, silnym, pięknym, mało co więcej, niż trzydzieści lat liczył — a teraz zwiądł, postarzał, zgarbił się i chodził posępny, nie mówiąc do nikogo ani słowa, albo pił. Otóż to właśnie — pił. Nie było pijaka w całym rodzie jego, on sam brzydził się gorzałką, długo, długo opierał się pokusie i do ust swoich kieliszka nie przytykał nigdy — aż nareszcie zahulał! Spróbował raz, drugi, trzeci — i pił bez pamięci. Trwało to tydzień, dwa, — potem znowu kieliszka do ust nie przytknął, ale wówczas działo się z nim coś dziwnego: bo albo w pole uciekał od ludzi, albo w swoim pokoju zamykał się i mówić z nikim nie chciał. Nie chciał — i dosyć. Gdy czasem w interesie ktoś do niego przychodził i zmusił go do mówienia, to w taką wściekłość wpadał, że oczy krwią mu nabiegały, jak wilkowi.

Gdy w te strony zawitał, od razu zabrał się do gospodarstwa, z ludźmi nie miał żadnych stosunków towarzyskich. Podatki płacił regularnie, z robotnikami rozpłacał się rzetelnie, a więcej znać nikogo nie chciał; do cerkwi nawet z początku nie chodził. „Batiuszka“ jak zaczął jednak koło niego skakać — rozruszał trochę. Może i miał na niego jakie zamiary — pewnie miał, jak się to później pokazało.

W owym czasie, gdy Nenadychę nabył Iwan Matwijowicz, „batiuszka“, mało co starszy od niego, miał już dwie córki na wydaniu. Młody dziedzic był kawalerem, a popadianki przychodziły często spacerować do pięknego ogrodu Nenadyskiego, rozłożonego na wzgórku tuż nad samym Dniestrem prawie. Nie zakładał go Iwan Matwijowicz, o nie, wieki upływały powoli, zanim rozrosły się te dęby, jesiony i lipy, które z wiatrem Dniestrowym wiodły długie nocne rozmowy; on do gotowego już przyszedł — i do ogrodu i do domu.

Dom był obszerny, murowany, wyglądał jak płótno białe, rozwieszone między drzewami; budowano go wygodnie, dostatnio, nie dla siebie tylko, lecz i dla tych, którzy przyjdą.

Człek strzela, a Bóg kule nosi. Nie domyślali się nawet ci, którzy kamień węgielny zakładali, ani kto w tym domu mieszkać będzie, ani też co się stanie z tymi

prezydyum. Przewodniczący piętnował ją jako dowód czarnej niewdzięczności względem tych czcigodnych panów, którzy się wyborem książek zajmują i z wielkiem poświęceniem, jak najdoskonalej zadanie swe spełniają. Ponieważ zaś owe inkryminowane powieści, są to odbitki z odcinka naszego najpoważniejszego klerykalnego organu, redakcya uczuła się obrażoną, dotkniętą w swych katolickich uczuciach i usiłowała dowodzić, że owa niemiłą dla niej krytykę wywołała jedynie nienawiść dla Kościoła i religii. Tym razem jednak, pan redaktor przebrał miarkę. Odpowiedziano mu bardzo słusznie, że chowanie interesów swej drukarni pod firmę Kościoła, jest po prostu wyzyskiwaniem religii na korzyść własnej kieszeni.

Zresztą przyznać należy, że tego rodzaju frymarka świętościami prowadzi się u nas oddawna na wielką skalę. Nigdzie może tak zwana służba Boża nie jest tak korzystnym jak u nas interesem, mimo biedy ogólnej".

* * *

Oświata ludu w zaborze rosyjskim. W „Przeglądzie Wszechpolskim" (Nr. 7) czytamy.

„Przed dwudziestu mniej więcej laty niektóre kółka studenckie w uniwersytecie warszawskim zebrały ze składek groszowych niewielką sumę, której użyto na zakupno książeczek popularnych dla rozdania ich chłopom. Literatury ludowej, która przed r. 1863 rozwijać się zaczęła, wówczas nie było prawie wcale, zarówno z powodu ucisku cenzuralnego, jak z powodu obojętności inteligencyi ówczesnej dla sprawy oświaty. Ten skromny, niewinny początek miał swoje następstwa doniosłe. Pomimo strasznego ucisku stworzono literaturę ludową, możliwie najlepszą w warunkach istniejących, przez kilkanaście lat rozdano lub rozpzredano z pewnością setki tysięcy książek. Dziś chłop nie potrzebuje już zachęty do oświaty, sam się do niej garnie, sam książki szuka i nie zadawalnia się strawą umysłową, dozwoloną przez cenzurę. Sprawa oświaty ludu znalazła gorliwych krzewicieli we wszystkich warstwach społeczeństwa, stała się nawet modną w sferach, należących do t. zw. towarzystwa. Nieraz była ona dla tych sfer zabawą, ale zabawą pożyteczną i nawet te panny, które tańczyły lub flirtowały na rautach „na oświatę" i z nudów uczyły dzieci stróżów w Warszawie lub chłopskie na letnich mieszkaniach — mają pewną zasługę. Chłop stał się modnym w piśmiennictwie nadobnem, na scenie, w sztuce plastycznej, w muzyce itd. Miało to również dobrą stronę i nie pozostało bez oddziaływania pośredniego na rozwój społeczny ludu.

Pod wpływem oświaty, poniekąd pod wpływem bezpośredniego zetknięcia się z inteligencyą, demokratycznie usposobioną, chłop zmienił się i rozwinął. Postęp, w ciągu lat piętnastu dokonany, jest niezmierny. Dosyć porównać ile chłopi dziś czytają pism i książek, a ile czytali wówczas nie mówiąc już o tem, że potrzeby umysłowe są już inne, wyższe, szlachetniejsze. Powieści i wogóle dzieła historyczne tysiącami liczą czytelników z ludu, a zakazane „książki polskie" cieszą się wielkiem uznaniem.

Nie do wszystkich jeszcze zakątków oświata wprawdzie datarła, ale po całym kraju rozrzucone są ogniska postępu społecznego i uczuć patryotycznych, które promienieją dokoła własnem światłem i ciepłem i nie potrzebują podsycania. Gdyby władze rosyjskie urządziły nawet powszechną w całej Polsce obławę i pochwyciły wszystkich ludzi, pracujących dla oświaty ludu, nie mogliby już jej zgasić. Ani czytelnie, ani odczyty rosyjskie, ani z natchnienia rządu wydawane pisma i książki w języku polskim, ludu już teraz nie zbałamucą, sprawie narodowej krzywdy nie wyrządzą. Nie znaczy to wcale, że obojętnie i lekceważąco patrzeć powinniśmy na te zabiegi, przeciwnie należy im przeciwdziałać energicznie, bo chociaż ludu dla polityki rządowej nie zjednają i nie zwrócą go z drogi, po której kroczyć począł, to w wypadkach pojedynczych dużo złego mogą. Czytelniom rządowym — przeciwstawić trzeba w gminie, w każdej wiosce czytelnie tajne, co okazało się zupełnie możliwem, książkom i pismom, przez władzę rosyjską wydawanym — książki i pisma, wychodzące za granicą, a do warunków i potrzeb zaboru rosyjskiego zastosowane.

Właściwie dawno już to uczynić należało i nie wątpimy, że wkrótce ukażą się książki takie i pisma. Widzimy zresztą świeży a pouczający przykład pożytku i skuteczności tego rodzaju propagandy. Litwini mają kilka pism wychodzących za granicą i sprowadzają tajemnie setki tysięcy egzemplarzy wydawnictw peryodycznych i książek. Ta kontrabanda wzrastała z każdym rokiem i obecnie rząd, po trzydziestoletniej zaciętej z nią walce, zmuszony został do ustępstw i, jak donoszą dzienniki, pozwolił na wydawanie pisma litewskiego, a zapewne i drukowanie książek czcionkami łacińskiemi. Lud nasz potrzebuje i ma prawo wymagać od inteligencyi pomocy, któraby spotęgowała jego odporność przyrodzoną i rozszerzyła zakres jego świadomości politycznej.

Pierwsze objawy tej świadomości, to dorobek pracy wytrwałej stronnictwa demokratycznego. Ileż to razy przeciwnicy jego mówili śmiało, wiedząc, że odpowiedzieć im nie można: my, zachowawcy przynajmniej w wypadkach pojedyńczych to i owo dla ludu robimy, a wy przyjaciele jego i obrońcy coście zrobili? Cośmy zrobili? Niewiele — to tylko, że lud ten świadomie dziś jest polskim, kiedy do niedawna był nim bezwiednie. Nie było trudnem w zasadzie to zadanie, bo lud polski, mniej od warstw innych wpływami i domieszkami obcemi zakażony, nie mógł być innym, nie mógł się wyrzec swego charakteru narodowego. Ale w warunkach istniejących spotykaliśmy na każdym kroku przeszkody, które pracą tajną i wytrwałą trzeba było przełamywać. — Wydawaliśmy książki, zakładali czytelnie, zapoznawali lud z dziejami narodu i budzili w nim nadzieje lepszej przyszłości. Te setki tysięcy książek, pism, odezw, nie mówiąc o słowie żywem o radach i przykładach — wywarły wpływ, którego rezultaty dziś widzimy. Ani liczyć, ani ważyć lub mierzyć prac tych nie można, tymbardziej mówić o wielu z nich szczegółowo, lecz „po owocach ich poznacie je..."

Kiedy przed dziesięciu laty w jednem z wyznań programowych tego stronnictwa postawiono zasadę, że dążenia i interesy ludu powinny być główną wskazówką polityki narodowej, przeciwnicy uważali to zdanie niemal za odstępstwo, za zdradę sprawy polskiej, a nawet ludzie dobrej woli i przekonań demokratycznych, wyrażali obawę, że ta zasada prowadzić musi do wyrzeczenia się naszych tradycyi politycznych. W patryotyzm ludu nie wierzono powszechnie, jak wielu dziś wierzyć nie chce. Tych przekonywać nie warto, ale dla takich, którzy jeszcze nie są, chociaż mogą być przekonani, czyż trzeba lepszego dowodu nad ten wypadkowy może, ale niezmiernie ciekowy i pouczający zbieg faktów. W tej chwili, kiedy chłopi z różnych okolic kraju po raz pierwszy występują gromadnie w niezwykłej dla nich roli przestępców politycznych i odbywają nowicyat więzienny — szlachta polska po raz pierwszy dobrowolnie i tłumnie dobija się zaszczytu brania udziału w „świętym obrzędzie" koronacyi carskiej! To nie efekt dziennikarski, to logiczny wynik dziejów, smutny, wstrętny, ale poniekąd konieczny a przynajmniej od dawna przewidziany i przepowiedziany".

---

którzy w nim wesołe i spokojne lata pędzili. Budowali na spokój dla siebie i potomstwa, na radość i szczęście — a przyszły smutki.

Nenadycha owa należała niegdyś do polskiej rodzina „buntowników". Cuda o niej opowiadał „batiuszka". Dobrze im było w tym domu, bardzo dobrze. To samo słońce świeciło nad nimi, co i teraz, rola tak samo rodziła, złocił się winograd na górach dniestrzańskich — tylko jakoś weselej bywało, niż teraz. Goście zjeżdżali się często, bawiono się hucznie, a wszystkiego w bród było i gościom i swoim. Zdawało się, że żądać więcej od Pana Boga nie można. Ot, nie — powiadał, kiwając głową — Lach, to taka harda i dumna dusza, że zawsze chce więcej i więcej. Jak przyszły wieści, że Warszawa buntuje się i tutaj zaraz zakipiało inaczej. Zachciało się im wolności jakiejś! Miły Boże! Czy można żądać piękniejszego raju na ziemi, jak był tutaj, większej wolności, jak zażywali panowie z Nenadychy! Nie! dawaj innej jakiejś wolności, a Bóg wie jakiej.

O, ta wolność... Po co jej żądali Polacy? Dobrze im się działo, spokojnie, dostatki wielkie, marszałkami, gubernatorami nawet mogli być — nie, nie dosyć! Niechże kto duszę ludzką zgadnie! Jak tam bylo, to było — konkludował „batiuszka", — dobrzy byli panowie, ale ich Bóg za dumę pokarał. Nagle stała się jakaś zawierucha i zakręciła, zakręciła, narobiła szkody — poszła. Ot, zupełnie tak, jak to się dzieje czasem na drodze w lecie. Zerwie się wicher ni stąd ni z owąd, narwie kłosów, słomy, liści, zmiesza to wszystko z kurzawą, skręci się jak wąż, stanie na dyby — potem zerwie się, w step poleci, długo tam wyje, aż się w niewidzialny pyłek rozsypie.

Kiedyś w nocy zrobił się hałas, najechało z Kamieńca żandarmów, oficerów, „stanowy prystaw", „sprawnik" het wszystko! Spędzili chłopów z całej Nenadychy na dziedziniec dworu, pobudzili panów i nie gadali nawet pół godziny. Zabrali co do jednego starych i młodych, i nikt nie wie, gdzie powieźli i co się z nimi stało...

Kilka lat od tego czasu minęło. Nagle Iwan Matwijowicz kupił Nenadychę. Kupił, sprowadził się i zagospodarował się w pustym domu. Najbliższem następstwem sprowadzenia się było poznanie się z „batiuszką" Onufrejem, z jego pięknemi córkami Katią i Lizą i w krótkim czasie potem ożenienie się z Katią. Skoligaciwszy się z „batiuszką", Iwan Matwijowicz wszedł z konieczności niejako do tej sfery życia, do jakiej i „batiuszka" należał. Nie była ona ani zbyt ponętną, ani rozgałęzioną. Tworzyła raczej kółko rodzinne, które do niedawna składało się z „batiuszki" i „sprawnika", żonatego z jego siostrą. Do tej gromadki przyłączył się Iwan Matwijowicz.

Życie tego kółka płynęło zwykłem, szarem korytem, i nad poziom codziennej fali nie podnosiło się nigdy. Odwiedzano się od czasu do czasu wzajemnie, a wówczas do „jeryłasza" lub „stukałki" rozkładano karty na zielonym stoliku, a w sąsiednim pokoju zastawiono stół „przekąskami" i wódką. Rozpoczynała się gra, prowadzona z całą drobiazgowością i namiętnością próżniaków, którzy zwykle utrzymują, że w ten sposób odpoczywają po pracy. Otóż taki odpoczynek trwał bez przerwy całą noc aż do rana, jeżeli nazajutrz bywał dzień zwykły: jeżeli zaś świąteczny — odpoczywano najczęści tyle dni, ile trwały święta. Od czasu do czasu wstawał tylko któryś z grających, szedł do stolika, pił, jadł, co mu się podobało i wracał znowu do kart, stolika i krzesła. Gdy się okazało, że jeden z czterech bywał zbyt zmęczony odpoczynkiem, wychodził do sąsiedniego pokoju, kładł się na kanapie i zasypiał, — reszta grała z dziadkiem, dopóki się tamten nie obudził. Krótkie chwile owego drogiego wywczasu poświęcano obiadom i wieczerzom — herbatę pijano, nie przerywając „jeryłasza" — a potem znowu siadano, dyskutowano, debatowano, kłócono się zażarcie o popełnione błędy i obliczano starannie, ile każdy z nich byłby zyskał na tem, gdyby błąd popełniony nie został.

Tak szczęśliwie, bez trosk, upływało im życie. Katia wykształciła się na doskonałą kucharkę i gospodynię, a z roli pani „pomieszczykowej" była nader zadowoloną. Iwanowi Matwijowiczowi urodził się syn Pietia — i na tem się progenitura zakończyła. Gdy „batiuszka", w chwili dobrego

Zasługi stańczyków.

W kilku numerach przytoczyliśmy obszerny ustęp ze znakomitej odprawy, jaką p. Kazimierz Bartoszewicz dał osławionej książce Koźmiana — ustęp, traktujący o początkach stronnictwa stańczykowskiego, a wykazujący, jak często chorąży krakowskich stańczyków mija się z prawdą.

Książka p. Bartoszewicza opuściła już prasę drukarską — i jest niewątpliwie publikacyą niezmiernie doniosłego znaczenia.

Aby pokazać, jak p. Bartoszewicz, który, jak wiadomo, nie należy do hołdujących „teoryom radykalnym“, zapatruje się na tak sławioną „zbawienną“ działalność krakowskiego stronnictwa, przytaczamy z książki jego następujący urywek:

Trudno jest nawet mówić o jakichś specyalnych zasługach Stańczyków na polu rozwoju w Galicyi. Ale ponieważ p. Koźmian długo i szeroko o tych zasługach mówi, przypuśćmy więc wbrew najoczywistszym faktom, że Stańczycy kierowali nawą Galicyi i spytajmy się, co przez czas mniemanego ich panowania Galicya uzyskała pod względem swej odrębności, czy autonomii, o ile polepszyły się jej stosunki ekonomiczne i narodowe, czem Stańczycy wpłynęli na zmianę kierunku pojęć i jakie zasługi położyli na polu wytrzeźwienia, oraz podniesienia idei kompromisowej.

Zaczynam od końca.

Co do idei kompromisowej to wobec tego, co wiemy, można nad udziałem w niej stańczyków przejść do porządku dziennego. Zanim wypłynęli na wierzch, rzecz była załatwiona, gotowa. Niektórzy tylko z nich ją psuli, stawiali jej przeszkody, aż wreszcie ustąpili. Największy przyjaciel i zwolennik stańczyków, jeżeli nie chce faktom zaprzeczać, może tylko powiedzieć, że po nieudanych próbach opozycyi, stańczycy przystąpili do gotowego i razem ze wszystkiemi stronnictwami prowadzili w dalszym ciągu politykę kompromisową.

Co do owego wytrzeźwienia społeczeństwa, to już zwróciłem swojego czasu uwagę i poparłem ją współczesnemi świadectwami, że społeczeństwo samo wytrzeźwiało. Stańczycy przypisują sobie wpływ na zaniechanie manifestacyi; o wpływie tym możnaby wtedy mówić, gdyby rzeczywiście tak zwane przez nich manifestacye i demonstracye zostały zaniechane. Każdy jednak kto żył w ostatnich trzydziestu latach w Galicyi wie, że to nieprawda. Nie przyszedł wprawdzie do skutku obchód Unii, bo go rząd zakazał, ale nie było ani jednego roku, w którymby nie urządzano tego, co stańczycy manifestacyami i demonstracyami nazywają. Owszem, właśnie za czasów, kiedy stańczycy najwięcej znaczyli, najwięcej też urządzono obchodów narodowych. Spis ich dokładny wypełniłby kilka kartek mojej książki. Co ciekawsze, że obchody te odbywały się przeważnie w Krakowie, siedzibie stańczyków, a im silniej przeciw nim występowali, tem potężniejsze przyjmowały one rozmiary. Któż nie pamięta całej presyi ze strony Stańczyków, aby uniemożebnić, a przynajmniej zamknąć w małych ramach jubileusz Kraszewskiego, — a co się stało? czy widział kto większą manifestacyą na ziemiach polskich po r. 1863? Doszło do tego, że stańczycy nie chcąc być odosobnieni, zrobili dobrą minę i sami w manifestach udział brali. Kraków od r. 1879 aż do 1891 tak się po prostu przyzwyczaił do rozmaitego rodzaju obchodów, że nawet szukał sposobności do nich i nie dał sobie wyrwać nawet jednego manifestacyjnego pogrzebu. Dopiero w ostatnich latach nastąpiła pod tym względem pewna cisza, może dzięki temu, że stańczycy przestali oponować i drażnić. Nie pisali nic przeciw obchodowi Kościuszkowskiemu i kto wie, czy nie dla tego wypadł on fatalnie, bo to już taka natura ludzka, czy też polska specyalnie, że chcąc ją do czegoś zachęcić, potrzeba ją podrażnić, stawiać jej przeszkody.

Zanim można mówić o wpływie stańczyków na stosunki narodowe i ekonomiczne w Galicyi, potrzeba zapytać się, czy one wogóle polepszyły się. Odpowiedź na to w znacznej części jest bardzo trudną, bo trzebaby chyba wygotować olbrzymi memoryał statystyczny z każdego działu gospodarstwa narodowego, aby módz choć w przybliżeniu zestawić ogólny bilans galicyjski. Z konieczności więc trzeba poprzestać na tych faktach, które same nasuwają się na oczy.

O załatwieniu kwestyi ruskiej, którą niegdyś stawiano zawsze we wszystkich programach, a więc i stańczykowskim, nie może być mowy. Stosunki pod tym względem tylko pogorszyły się. Wprawdzie przy ostatnich wyborach do sejmu zgnieciono tak zwaną partyę moskalofilską, ale fakt ten nie dowodzi jej osłabienia, tylko zręczności użycia przy wyborach odpowiednich środków. Na wszystkich tak zwanych „ugodowcach“, którzy z nami kokietowali, zawsze się zawodziliśmy; przepaść między narodowościami stanowczo powiększyła się.

Również ciążącą wiecznie zmorą nad galicyjskiemi stosunkami jest kwestya żydowska. Żywioł żydowski wzrasta ilościowo i jakościowo, a nikt nie pracuje nad jego uobywatelnieniem. Nie tu miejsce rozwodzić się, czy idea asymilacyi miała racyę bytu, dość, że ją porzucono, a żydzi coraz więcej wyodrębniają się od reszty społeczeństwa. Można się sprzeczać o to, jak z nimi postępować, ale jakiś kierunek należało wybrać i przeprowadzić go z całą konsekwencyą. O tem żadne stronnictwo nigdy nie myślało, a przywódzcy stronnictw, posłowie i kandydaci na posłów jak ognia boją się wypowiedzieć swe zdanie o tej kwestyi tak bardzo groźnej dla kraju. Na każdym punkcie gorzej się ona dziś przedstawia, niż przed laty trzydziestu.

Że ustawodawstwo sejmowe w szczupłym swoim zakresie niejedne sprawę naprzód popchnęło, wiele wadliwych przepisów usunęło, a wiele dodatnich stworzyło, to rzecz całkiem naturalna. Sejm radzący corocznie przez lat trzydzieści nad sprawami kraju, musiał przecież coś robić, a zadaniem jego było nie psuć, lecz naprawiać. Ale żeby w tej pracy ustawodawczej był wytknięty jakiś kierunek, żeby którekolwiek ze stronnictw przeprowadziło konsekwentnie jakiś program, tego powiedzieć nie można. Najważniejsza ze wszystkich sprawa reformy gminnej nie może się doczekać załatwienia.

Przybyło szkół, umiejących czytać i wogóle oświaty. Ktoby temu zaprzeczył,

---

humoru przekonywał, że zdałaby się córka, Iwan Matwijowicz odpowiadał przysłowiem:

— Nie miała baba kłopotu... Na co? Azeby więcej było harmideru w domu?

Iwan Matwijowicz powoli wciągnął się do tego życia, pił tak samo, jak „batiuszka“ i sprawnik i tak samo grał w karty — a nawet poczynał się rozmiłowywać w tych rozrywkach. Zresztą, były one tak zwyczajne w okolicy, pośród sfery służbowej urzędników i popów, że z konieczności poddać się zwyczajowi musiał, potem przyzwyczaił się, a w końcu zwyczaj stał się nałogiem.

W okolicy nie brak było jeszcze właścicieli ziemskich Polaków, ale ci żyli swojem życiem i nigdy ich nikt w towarzystwie sprawnika i „batjuszki“ nie widywał.

Oprócz powolnego przyzwyczajania się do trybu życia tylko co opisanego, który doprowadził go z czasem do namiętności — opilstwa. — Iwan Matwijowicz miał jeszcze inną, ukrytą namiętność: strasznie nie lubił Polaków. Nigdy o nich sam rozmowy nie zaczynał, lecz gdy tylko kto z jego otoczenia dał mu bodaj w daleki sposób do zrozumienia, że na świecie istnieje naród, który się zwie Polakami — wówczas wpadał w prawdziwą furyę. I Katia i „batiuszka“ i sam „sprawnik“, który przecie miał obowiązek prześladowania Polaków, nie mogli tej nienawiści Iwana Matwijowicza zrozumieć. Boć przecie wszystko mieć musi swoją racyę — a tu nie było żadnej. Ot, taka nienawiść i koniec. Żaden Polak u niego nie bywał, ani on u żadnego.

Z wiekiem nienawiść ta nie zmniejszała się bynajmniej, ale potężniała, a w miarę tego, jak rosła, Iwan Matwijowicz stawał się coraz bardziej ponurym i już niezadawalał się wychylaniem częstych kielichów przy „jeryłaszu“ lub „stukałce“ ale upijał się w pojedynkę, a wtenczas ani przystępu do niego nie było! Rzucał się wprost do oczu ludziom, albo uciekał w nocy do ogrodu, ze sobą rozmawiał, kogoś wołał, a nawet, powiadano — płakał.

Wielkiem pragnieniem Kati było nawiązanie stosunku z sąsiedztwem; gorąco życzył tego „batjuszka“ także — ale Iwan Matwijowicz oparł się stanowczo — nie chcę i nie chcę! I Katia i „batjuszka“ mieli swoje ambicye. Mąż i zięć był posiadaczem wsi, a tymczasem żadnego znaczenia w powiecie pies nawet w ich stronę ogonem nie kiwnął.

Nic jednak nie pomogło. Iwan Matwijowicz nie dał się namówić.

— Braknie ci czego? — pytał wówczas żony.

— Nic.

Masz dach nad głową i jadła dosyć?

— Bóg łaskaw, to prawda.

— Gdy masz wszystkiego dosyć, to siedź cicho. Zachciewa się tobie lackich marcepanów — co?

Tak samo zamykał usta „batiuszce“.

I znowu do czasu wszystko szło dobrze i spokojnie, aż dopóki Iwan Matwijowicz nie zaczął pić i nie wpadł w swoją malignę pijacką.

Lata całe tak bywało. „Batiuszka“ i „sprawnik“ wyglądali jak beczki od piwa, krew im z czerwonych nosów i z policzków ledwie nie tryskała, a Iwan Matwijowicz chudł, stawał się jak drzazga cerę miał żółtą, jak świeca woskowa, tylko oczy mu albo paliły się niespokojnym blaskiem, albo tak węglały, jakby je kto mgłą zasłonił.

Ten i ów nazwał go dzikim człowiekiem, a potem ta nazwa tak do niego przyrosła, że już nawet „batiuszka“ i „sprawnik“ inaczej nie nazywali.

Nie było czasu nikomu zastanawiać się nad powodami jego dziwactwa i dzikości — najprzód służba boża i carska, potem „jeryłasz“ i „stukałka“...

— Taka już jego natura! — mówiono powszechnie i to wystarczyło.

Syn jedyny rósł, wyrósł, szkoły ukończył, do uniwersytetu wstąpił, ale to w niczem ogólnego położenia i stanu duszy Iwana Matwijowicza nie zmieniło. Ot, prawdę powiedziawszy, było nawet gorzej. Jeżeli Iwan Matwijowicz nie pił, to z nikim prawie nie mówił; gdy kogoś bliżającego się zoczył — uciekał chyłkiem, udając, że go nie spostrzega, a kiedy pił — wówczas albo zamykał się w pokoju i nikogo do siebie nie dopuszczał, albo zwykłym trybem do ogrodu uciekał. W karty grywał tylko po dawnemu, ale bez namiętności żadnej, grał — bo w ten

skłamałby niegodnie, a kto chce, aby odrazu każdy chłop umiał czytać, aby odrazu w każdej gminie była szkoła, ten jest doktrynerem nieobliczającym się z możnością. Ale z postępu na tem polu nie ma się czego chwalić, bo jest to rozwój naturalny, któremu żadna siła nie przeszkodzi. Niema w Europie ani jednego państwa, kraju, kraiku, gdzieby w ciągu ostatnich lat trzydziestu nie przybyło szkół i umiejących czytać. Nawet pod zaborem rosyjskim szkół przybywa. Zresztą na tym polu stańczycy nigdy nie szli na czele (nie znaczy to, że szli w tyle). Był to i jest ogólny prąd, który porywa za sobą. Jeżeli są nawet wyjątki przeciwne szerzeniu oświaty, to te siedzą cicho, aby się nie skompromitować. Inna rzecz czy sposób szerzenia oświaty jest właściwy, ale to temat do obszernej rozprawy. Nie można wszakże zapomnieć, że brakuje nauczycieli z powodu dużych wymagań, a małej płacy. Zeszłoroczne głosowanie w sejmie konserwatystów, a w ich liczbie stańczyków, przeciw skromnemu projektowi polepszenia bytu nauczycieli ludowych nie dowodzi zresztą zbytniego zapału w tym stronnictwie dla oświaty i trzeba było dopiero skandali w Wiedniu (petycyi nauczycieli do Rady państwa) aby sprawę w tym roku korzystniej załatwiono. Jest też postęp powolny w podniesieniu szkół średnich, a wcale znaczny w podniesieniu uniwersytetów.

Kiedy wspomniałem o uniwersytetach, nie od rzeczy będzie napomknąć kilka słów o duchu młodzieży. Strach przed urojonym, nadzwyczajnym niby zapałem młodego pokolenia, kazał wyższym sferom lać zimną wodę na młodzież. Obawiano się, aby źle zrozumiany patryotyzm nie doprowadził do wybuchu, a więc wołano wciąż do młodzieży: nie politykujcie, inni za was myślą o przyszłości ojczyzny. Stańczycy szli na czele tej straży pożarnej i starali się tłumić wszelkie manifestacye polityczne. Możnaby obszerną rozprawę napisać o ciągłych przez lat kilkanaście zajściach z młodzieżą w tym kierunku. A doprawdy, kto tę młodzież znał, ten raczej podsycać był powinien gasnący płomień zapału patryotycznego. Na smutne rezultaty tego gaszenia patrzymy dzisiaj z boleścią. Młodzież musi dzisiaj coś ukochać, musi w coś z zapałem wierzyć; bo inaczej nie byłaby młodzieżą. Patryotyzm jej oblewano wodą, a więc zwróciła się gdzieindziej i z zapałem oddała się szerzeniu różnych teoryi, w których nie ma miejsca dla patryotyzmu.

Równie naturalnym jak rozwój szkół, był rozwój przemysłu. Z powiększeniem potrzeb, z rozwojem komunikacyi, przez trzydzieści lat spokoju zewnętrznego i wewnętrznego, przemysł krajowy musiał się podźwignąć. Ale jakiż on jest słaby, jak wątły, — czy można go przyrównać do przemysłu Krolestwa kongresowego. Ale i czy ten mizerny przemysł może co zawdzięczać stańczykom, czy nie jest on wytworem usiłowań jednostek, czy te jednostki znajdują dostateczne poparcie i protekcyę u władz krajowych? Na czele tego przemysłu zresztą stoją przeważnie żydzi, cudzoziemcy, lub osiedleni w Galicyi Polacy z innych zaborów. Jedyny wreszcie prawdziwy, na większą skalę przemysł galicyjski, to przemysł bialski, przemysł niemiecki na ziemi polskiej. Zresztą dwie ostatnie wystawy krajowe są poniekąd ilustracyą pracy stańczyków około przemysłu. Wystawa krakowska w r. 1887 przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy, a urządzali ją i na jej czele stali stańczycy — wystawę lwowską, która bądź co bądź dobrze wypadła, a była co najmniej może dziesięć razy wspanialszą od krakowskiej, urządzali prawie przeważnie dawni ludzie ruchu z czerwonem mieszczaństwem lwowskiem. W Krakowie do wystawy była apatya, przystępowano do niej z niewiarą — Lwów do swojej wystawy szedł z zapałem.

Przybyło Galicyi dróg żelaznych bardzo wiele, przybyło i dróg bitych. Ale wymagał tego przedewszystkiem interes państwa, a postęp pod tym względem jest znowu postępem czysto naturalnym, niezależnym od żadnej walki stronnictw, od żadnych stańczyków lub liberałów. I w Królestwie i na Litwie sieci kolejowych przybyło co niemiara, a nikt przecież z tego nie będzie wyciągał wniosków dalej sięgających. Natomiast ze smutkiem trzeba wspomnieć o sprawie regulacyi rzek galicyjskich. Tu polityka stańczykowska czy jaka inna, miała przed sobą donośne zadanie i możność zasłużenia sobie na wdzięczność całego kraju. A jednak pomimo wszelkiej naszej lojalności, pomimo naszego tak rozgłaszanego znaczenia w Austryi, z niezwykłą apatyą, z lekkomyślnością prawie traktowano u góry tę sprawę, tak dla kraju ważną, bo mogącą go zabezpieczyć od ciągłych, nieustannych klęsk, podkopujących ogólny stan ekonomiczny. Gdyby zliczyć, ile Galicya w ciągu trzydziestu lat straciła na wylewach, możnaby za te pieniądze nie raz, ale dwa razy regulacyę przeprowadzić. Po każdej nowej klęsce woła cały kraj do rządu o zlitowanie. Były nawet przyrzeczenia oficyalne, wypowiadane przy zagajeniu sesyi parlamentarnych, ale na przyrzeczeniach wciąż się kończyło i kończy. „Koło polskie“ ani razu tej kwestyi nie postawiło ostro, ani razu nie śmiało żądać wykonania obietnic pod zagrożeniem, że przestanie udzielać poparcia rządowi. Jeżeli się nie mylę, to kosztorys regulacyi obliczony był na jakieś dziesięć milionów, z których część kraj miał zapłacić. Regulacya rzek, ta najistotniejsza potrzeba kraju, połączona z dobrem państwa, jest jeszcze dziś na porządku dziennym... w mówkach kandydackich. Natomiast Koło polskie głosowało solidarnie za udzieleniem 30 milionów na podniesienie miasta Wiednia.

O tem, że większa własnosć jest coraz więcej zadłużona, że coraz więcej przechodzi w ręce obce, wiedzą wszyscy. Fakt ten nie może się spotkać z żadnem zaprzeczeniem. Równie smutnie, jeżeli nie smutniej wygląda własność mniejsza. Albo rozdrabia się tak, że nie jest w stanie utrzymać właścicieli, albo również staje się łupem obcych żywiołów. Olbrzymie jej obdłużenie, którego dawniej nie było, przedstawiają daty statystyczne. Rezultatem tego stanu rzeczy jest tłumna emigracya włościan do Ameryki. Wogóle, gdybyśmy wzięli na uwagę ten upadek własności większej i mniejszej, to już on sam jeden nosi wszelkie ekonomiczne i narodowe korzyści, jakiemi mogłaby się pochwalić Galicya w ciągu swej ery autonomicznej.

A kiedy mowa o ludzie, trudno zapomnieć, że wystąpił on w ostatnich czasach jako zdecydowany przeciwnik szlachty, oraz

---

sposób czas zabijał — nie grać wydawało mu się czemś stokroć gorszem. Gdy nie grał, wówczas sam z sobą szamotał się — chodził, mruczał, palił i nieprzeparta siła ciągnęła go tak długo do wódki, póki pić nie zaczął..

Pomału zaniedbał gospodarstwo i interesy, — wszystko zdawszy na Katię i „batiuszkę“. Potrzeby jego osobiste były coraz mniejsze, stosunków nie miał żadnych, żadne towarzyskie obowiązki nie wiązały go i nie krępowały — mógł przeto z coraz większą namiętnością oddawać się ulubionej samotności, a w chwilach szału — pijaństwu. Powolne opuszczanie się doszło nareszcie do tego, że całe dnie spędzał w szlafroku, z fajką na długim cybuchu w ustach siedział nieruchomie w swoim pokoju, którego jedno okno potrójne wychodziło na dziedziniec, a drzwi szklane na werandę i ogród.

Zima rozgościła się na dobre, jedna z tych zim podolskich, równych, pięknych, w miarę śnieżnych, a pełnych czerstwości i zdrowia.

Święta Bożego Narodzenia minęły w domu Nenadyskim spokojnie, a dla Iwana Matwijowicza smutno. Pietia nie przyjechał, uskarżał się, że ma egzamina bardzo ostre, przygotować się musi pilnie i dopiero na Wielkanoc przyjazd obiecywał. Zmartwiła ta wiadomość ojca, — bardzo zmartwiła. Od pewnego czasu, w duszy jego odbywała się zmiana, która słowami na zewnątrz nie manifestowała się. Iwan Matwijowicz tak samo jak dawniej, grywał w karty: jeżeli zaś nie mógł złożyć swojej domowej partyi, nudził się, męczył, palił namiętnie i pomrukiwał jakieś niezrozumiałe wyrazy. Było to złą przepowiednią — i źle się zwykle kończyło. Katia znała już to usposobienie męża, zamykała starannie szafkę z wódką, nie dawała mu klucza od piwnicy — ale nie było rady. Stary wpadał w furyę, bił chłopca, jeśli wykręcał się i wódki z karczmy przynieść nie chciał — i wreszcie pięścią zdobywał sobie wszystko. Potem rozpoczynała się dopiero pijatyka bez granic i miary.

Pomimo to wszystko w duszy tego zamkniętego dla wszystkich człowieka budziły się uczucia, nieznane dawniej: miłość i tęsknota do syna. Zdawało się mu, że energia, wesołość, żywość Pieti ożywia i rozwesela cały posępny dom, nad którym widmo złowieszcze unosiło się. Dawny piękny, wesoły dwór Nenadyski wyglądał teraz jak opuszczona karczma, skazana na to, ażeby ją mrozy i deszcze rozgryzły i rozwaliły do reszty. Drogi i ścieżki, prowadzące do niego od wsi, zarosły podróżnikiem i perzem, pod murem, opasującym ogród i dziedziniec, rosły bujne pokrzywy, dziewanny, bodiaki, których szkielety, szronem okryte, sterczały teraz smutnie, odkrywając szczerby i ruiny wysokiego niegdyś muru. Ogród w las się rozrósł. Od dwudziestu lat siekiera i piła ogrodnicza niedotknęły gałęzi stuletnich dębów i lip, a krzaki bzu, migdałów różowych i jaśminu aż do okien się wdzierały.

Wigilia przeszła smutnie, tembardziej, że nawet sprawnik nie przyjechał, bo po świętach nagły jakiś interes służbowy wyparł go z domu na czas dłuższy.

Wieczerzę spożywano w ścisłem kółku domowem, milcząc. Z początku odzywał się „batiuszka“ o tem i owem, ale nikt mu nie odpowiadał, albo otrzymywał odpowiedź półgębkiem tylko. Katia także była zmartwiona z powodu nieprzyjazdu Pieti i sióstr — i tak wieczerza wigilijna zdawała się być raczej smutną jakąś przepowiednią, niż dniem nadziei.

Kiedy nareszcie kutię wniesiono, „batiuszka“ starym zwyczajem, nabrawszy jej do łyżki, pierwszą łyżkę wyrzucił przez okno na mróz, aby rodziło się żyto i pszenica, a drugą do góry, na sufit — na szczęście i pomyślność domu całego. Dawnemi laty, kutia zwykle grubemi kupkami przylepiała się do sufitu ku zadowoleniu i radości wszystkich, a dziś stało się coś niepojętego — ani jedno ziarno nie przylepiło się, wszystkie spadły na obrus, na wieczerzę i na głowy obecnych. Zjawisko to na pozór zwykłe wywołało nadzwyczajne wrażenie na zgromadzonych, nie wyłączając nawet służby.

(Ciąg dalszy nastąpi.

inteligencyi. Konserwatyści nasi od czasu do czasu pisali broszury o sprawie ludowej, a inni szli między lud i rozdmuchiwali płomień niezgody i nienawiści. Duchowieństwo straciło prawie zupełnie wpływ na włościan, a szlachta nie ma go wcale. Tu znowu sposobność do napisania całej rozprawy na temat, co tego przyczyną. Ale nie chcę poruszać drażliwej kwestyi, a tylko stwierdzę pewnik, że takim jest lud, jakim go się wychowa i że najbliżej ludu z natury rzeczy stoją ci, co są jego sąsiadami. Im więc, a nie komu innemu należy zawdzięczać rozkład, jaki się objawił w społeczeństwie.

Rozkład ten przychodzi i z drugiej strony: hasła socyalizmu coraz więcej przenikają do sfer robotniczych. Każdy rozsądny człowiek musi przyznać, że między postulatami socyalistów jest wiele rozumnych, zgodnych z zasadami prawdziwego postępu i chrześciańskiej miłości bliźniego, że wiele z nich jest wreszcie bliskiemi urzeczywistnienia. Ale socyalizm międzynarodowy, pod którego sztandarem gromadzą się nasi socyaliści, narusza najżywotniejsze podstawy narodowe i nietylko podsyca waśń społeczną, ale grozi naszym najwyższym ideałom. W chwili, kiedy to piszę, pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“ zagłuszoną została na zebraniu ludowem pieśnią „Czerwony sztandar“.

Oto krótki obraz, do jakich rezultatów doszła Galicya w ostatnich 20 latach, w których zostawała pod rządem konserwatystów, czyli, jak chce p. Koźmian, stańczyków — oto jej olbrzymi rozwój, z jakiego ma się cieszyć i który ma niby zawdzięczać stronnictwu stańczykowskiemu, temu stronnictwu, co to według p. Koźmiana „nietylko na zakrój umysłów i pojęcia c a ł e g o n a r o d u znaczny wraz ze szkołą wywarło wpływ, ale także w części Polski austryackiej wytworzyło żywotne, znaczne warunki bytu narodowego.“ Nie, doprawdy, jeżeli stan Galicyi po r. 1870 jest rezultatem tego stronnictwa, to ma się ono czem chwalić....

(Następuje rozstrzygnięcie pytania, co Galicya zyskała na zewnątrz w stosunku swoim do monarchii austryackiej, dzięki stronnictwu stańczykowskiemu. Odpowiedź wypada również ujemnie. Na końcu wywodów swoich przytacza Bartoszewicz następujące *résumé*:

Na tem kończę pobieżne przedstawienie mniemanych dobrodziejstw, jakiemi Galicyę mieli obdarzyć stańczycy, a z przedstawienia tego wynika!

p o p i e r w s z e, że wszelkie prawa narodowe i autonomiczne, jakiemi się cieszymy w Galicyi, zostały uzyskane wcześniej, zanim stronnictwo stańczykowskie na świat przyszło.

p o d r u g i e: że stronnictwo to było tylko składową częścią stronnictwa konserwatywnego i że tylko przez krótki czas trzymało w niem pierwsze skrzypce, bez żadnych rezultatów, bez najmniejszego powodzenia, owszem, przyczyniwszy się do rozbicia konserwatystów.

p o t r z e c i e: że przez cały czas istnienia „bractwa“ stańczyków kraj postąpił naprzód tylko w tym kierunku, w którym naturalny bieg rzeczy do tego postępu prowadził, a na innych polach jest w gorszem dziś położeniu, aniżeli był przed laty trzydziestu (upadek własności i większej i mniejszej, waśń społeczna na wsi, emigracya, socyalizm międzynarodowy w miastach);

p o c z w a r t e: że lojalność kraju względem monarchii i zwrot umysłów w tym kierunku powstały i utwierdziły się przed narodzeniem się bractwa stańczykowskiego;

p o p i ą t e: że od czasu, kiedy stańczycy wystąpili na widownię publiczną, Galicya nietylko nie uzyskała nic pod względem rozszerzania swej autonomii, ale część praw nabytych straciła, że cały przeto program pod tym względem bractwa stańczykowskiego spoczął w pyle zapomnienia.

Z estrady i sceny.

Kaśka Karyatyda.

Melodramat w 6 odsłonach p. Gabryelę Zapolską.

Jeden z młodszych liryków niemieckich, R y s z a r d D e h m e l, ogłosił w ubiegłym roku artykuł o powszedniości motywów, typów i stylu w nowoczesnej literaturze dramatycznej. Utalentowany poeta rzucił w swej rozprawie rękawicę autorowi „Tkaczów“ i „Hanusi“, którego sztuki z błyskawiczną szybkością zdobyły rynek literacki i sceny niemieckie. Dehmel uznaje talent Hauptmanna, lecz twardem i błyszczącem, jak brylant, piórem chłoszcze jego kierunek. Artykuł zrobił sensacyę, — więcej może dla formy kuszącej i przedmiotu krytyki, niż dla doniosłości pocisków, skierowanych ku tym wyżynom, gdzie królują „Tkacze.“ Prawda, że innym jest realizm Szekspira, innym realizm Hauptmanna, — prawda, że inne są tematy i charaktery dramatów starego Wila, jakby oderwane od szarej przeciętności życia, jakby dyszące odrazą ku wszystkiemu, co nosi stempel powszedniego smutku, powszedniej walki, powszednich uczuć i namiętności. Lecz nie zapominajmy, że Szekspir był dzieckiem angielskiego renesansu, tej królewskiej epoki typów wielkich i bujnych — Hauptman jest synem okresu niwelacyjnego, gdzie gatunek „homo“ skurczył się nieco i zmalał, a indywidualizmy stały się niewątpliwie różnolitsze, lecz straciły na potędze swojej. W tej odmienności środowiska tkwi, poniekąd przynajmniej, przyczyna odmiennej fizyognomii dawnego i obecnego realizmu. To, co było powszednością dla Szekspira, nie jest powszednością dla Hauptmanna. Inne modele, inne dramaty.

Proste stosunki, proste dusze i proste tragedye, — o! w tem wszystkiem może być ból wielki i wielka potęga. Jest nawet w szarej przędzy codziennych bojów, jakaś odrębność silnie dramatyczna, jest coś, co często obija się o uszy nasze w przysłowiowych niemal wyrazach: „Dziwnie smutne, bo dziwnie powszednie“. Nie temat zatem, nie charaktery odskakujące od szaroty życia stanowią o sile dramatycznej i artyzmie utworów, lecz talent, jedynie talent. Niech tylko mistrz pozbiera powszednie smutki i rzuci na deski, a wstrząśnie nami i porwie dusze tym smutkiem.

Więc nie winię bynajmniej Gabryeli Zapolskiej, że z tak pospolitych typów i stosunków ulepiła swoją „Kaśkę Karyatydę“, nie winię jej, że glinę prostą, zamiast marmuru, użyła do rzeźby stylu swojego, lecz szukam tylko talentu dramatycznego, szukam

St. Czałut

WSPOMNIENIA

Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(D o k o ń c z e n i e).

Wsiadając, patrzę w okno wagonu i widzę ku nieopisanej mej radości i niemałemu zdziwieniu twarz adjutanta. Lecz czasu do wyjaśnień nie było, zachowałem me „incognito“, ani ruchem twarzy nie zdradzając wzruszenia i zabrałem miejsce w przeciwległym kącie wagonu.

Całą drogę daleką do Algieru łamałem sobie głowę nad objaśnieniem naszego zgubienia się i znalezienia. Nie mogłem dojść końca tej zagadki, dopiero, gdy pociąg stanął w Algierze, a my wysiadłszy w objęcia się sobie rzucili, nastąpiło rozwiązanie.

Rzecz prosta, ja podówczas wysiadając w rzekomem Relizanes, wysiadłem stacyę za rychło, przeszedłem się potem pieszo do właściwego Relizanes, gdzie Gałecki już dnia poprzedniego przybył i zanocował, ztąd zaś, udawszy się do „les Salines“, szczęśliwie go odnalazłem.

Algier sam jest to miasto przecudne. Przebywszy wiele świata, znając prawie wszystkie europejskie stolice, śmiało powiedzieć mogę, że Konstantynopol piękny, piękniejszy Neapol, lecz najpiękniejszy co do położenia swego i pejsażu to Algier. Niebo tak lazurowe jak pod Neapolem, a morze modre, gdyby najczystszy błękit, obejmuje ogromnym półksiężycem podnóże stromej skały, na której kresach piętrzy się stolica o niezrównanym malowniczym wdzięku. Czternaście takich teras nadaje miastu formę greckiego amfiteatru, wykutego w skale. Poprzecznych więc ulic właściwie nie ma, są to raczej schody w najprawdziwszem słowa tego znaczeniu. Na samym szczycie stolicy sterczy dawniejszy zamek dejów algierskich, najniższa zaś ulica, tuż nad morzem położona, raz po raz w zielony plac się rozszerzająca, to najpyszniejsze bulwary z dumną nazwą „boulevard de la république“. W porcie pełno statków najrozmaitszych narodów świadczy o przemyśle i ważności handlowej Algieru. Tu też spodziewaliśmy się niechybnie napotkać okazyę do Hiszpanii.

Nadzieje zawiodły. Wprawdzie towarowe okręty hiszpańskie były tam liczne, lecz wiadomo, iż statki te pasażerów nie zabierają. Dopiero za dni 10 miał odbić przyszły okręt osobowy do Hiszpanii. Mogliśmy, co prawda, korzystać z okazyi do Tryestu, Hamburga lub Londynu, jednak towarzyszowi memu wydawało się, iż na ten cel nie starczy nam pieniędzy. Gałecki uparł się formalnie, by do Hiszpanii pojechać, postanowiliśmy zatem czekać, aż sposobność się nadarzy.

Razu pewnego wyszedłem na miasto celem zakupienia świeżej bielizny. Towarzysza mego zostawiłem w jednej z licznych gospód dla marynarzy, gdzie częściej obcowaliśmy w nadziei uzyskania prywatnej i spieszniejszej sposobności na połwysep pyrenejski. Gdym wrócił, widzę Gałeckiego w towarzystwie ludzi jak najrozmaitszego typu i zawodu. Byli tam i majtkowie hiszpańscy i robotnicy miejscowi, używani do ładowania i wyładowania towarów okrętowych, negrzy, muzułmanie, Francuzi, słowem zamieszanie i chaos najzupełniejszy. W pośrodku nich siedzi mój adjutant, częstujący całą gawiedź winem i absyntem i rozprawiający żwawo zwłaszcza z jednym Francuzem. Zauważyłem, iż już nie był zupełnie trzeźwym, zbytnia wesołość i rumieniec na twarzy na pierwszy rzut oka świadczyły o tem wymownie.

— Czałucie — rzeknie widząc mnie wchodzącego — jutro pojedziemy do Alikanty z tym tam oto marynarzem!

Spojrzałem na niego i na wskazanego majtka z niedowierzaniem.

— Owszem mój panie, — potwierdza Hiszpan — jeżeli każdy z panów da franków 20, to interes ubity. Kolega Pański czekał tylko powrotu Pana, by wpierw się z nim porozumieć. Myślę, że cena niska panów tembardziej zachęci, bo o ile słyszę, pali się panom pod nogami.

tej siły, która ożywia scenę i podbija publiczność. A tego źródła twórczości nie posiada Zapolska. Znaną jest ona przedewszystkiem jako powieściopisarka, a nie ma chwilowo drugiej autorki w Polsce, której dzieła ulegały tylu sprzecznym ocenom i tyle burz, kończących się nawet preed kratkami sądu, niosły w świat literacki. Nie podzielam opinii tych sfanatyzowanych przeciwników naturalizmu, którzy jednem pociągnięciem pióra, jednem lapidarnem słowem o grzebaniu w śmietnikach życia, odmówili Zapolskiej wszelkiego talentu, — przeciwnie, upatruję tam prawdziwą zdolność powieściopisarską, lecz zakutą w pęta ciasnej doktryny. Jest ona jak rzeka, której wodę czystą i głęboką stabowały dopływy francuzkich naturalistów i oto talent bujny i szeroki zamknął się w naśladownictwie i, jak to często zdarza się u zwolenników zasady *„vestigia semper adora“*, u mistrzów swoich zapożyczył głównie ich wady. Z wszystkich wybitniejszych powieściopisarzy naszych Zapolska najczulszą jest na obce wpływy. Z palety naturalizmu czerpie zasadniczą barwę utworów swoich, lecz równocześnie każdy silniejszy kierunek, który pojawi się na zachodzie, znajduje echo w jej księgach. Przypominam sobie, że gdy impresyonizm rozpoczął królestwo swoje w Europie i na ustach wszystkich były „barwne plamy“, wtedy pełno tych „plam“ pojawiło się w jednej z powieści Zapolskiej. Talerz na stole był „plamą“, drzwiczki od pieca „plamą“, krawat na koszuli „plamą“ — plamy i plamy bez końca.

Mimo tej jednostronności nie odmawiam Zapolskiej talentu powieściowego. Umie patrzeć, umie malować, umie splatać węzły romansu. Powieść jednak i dramat, to odrębne światy, — kto żywe rodzi powieści, może martwe rodzić dramaty. Rzadko w literaturze pojawi się talent, co wawrzyn zdobędzie w obu rodzajach twórczości, a rzadziej jeszcze utwór na świat wydany w powieściowych kształtach, posiada cechy artyzmu w dramatycznem przeobrażeniu. Kaśka Karyatyda, jako powieść, ma niewątpliwe zalety. Tam ludzie żyją, naturalistyczna powódź drobiazgów zalewa wprawdzie tu i owdzie piękno i harmonię, lecz tragedya wiejskiej dziewczyny, rzuconej na bruk stolicy, mówi wielką wstrząsającą skargą i krzykiem ludzkiej niemocy. Któż z nas tych głosów nie słyszał? — takie one pospolite, jak krzyże przydrożne, tak strasznie powszednie, a przecież za gardło chwytają i duszą.

A dramat? Ani tam życia, ani naprężenia i ruchu. Gdzieniegdzie ból załka i błyśnie łza prawdziwa, gdzieniegdzie uderzy szczegół dobrze podpatrzony, lecz całość wymuszona, o mozaice scen źle poskładanych, bez nerwu dramatycznego i pulsu. Talent Zapolskiej posiada siłę tworzenia tylko w szerokich ramach romansu. Nieskrępowany formą dyalogu i ciasnym gorsetem sceny, buja swobodnie, gromadzi szczegóły, rozpala światła indywidualnego krytycyzmu i z takim przyborem mechaniki powieściowej umie malować barwnie, plastycznie i żywo. Warsztat romansopisarza posiada tysiączne środki tworzenia, z których autor dramatu rezygnować musi, i dla tego niejeden świetny pomysł powieściowy w obręczy kulis zmieścić się nie może, — niejeden z tych, co szerokim pędzlem żywe stosunki i żywych ludzi na tło romansu rzucali, plącze się w ograniczeniu scenicznem i zamiast zwartej całości, buduje zlepki ułamków.

Taki los spotkał Kaśkę Karyatydę. Ten świat suteren i kuchni, który maluje Zapolska, jest oparty na dokładnej obserwacyi, jest zbiornikiem „dokumentów ludzkich“, a mimo to wydaje mi się martwym. Cały melodramat jest jak fonograf recytujący zapiski, które mu odczytała z pugilaresu swego autorka, i jak maryonetka, której ukryty za kulisami reżyser według życiowych wzorów wprawia w ruch ręce i nogi. Jest to zatem prawda mechaniczna, prawda martwo urodzona, i dla tego realizm „Kaśki Karyatydy“ pozostaje zimnym, cudzym, nie łączy sceny z publicznością. Zaledwie gdzieniegdzie krew w żyłach zatętni i naturalnym rumieńcem zczerwieni wargi i policzki, a potem znowu suche trzepanie maszyny i sztuczne kolory.

Z wewnętrzną martwotą sztuki łączy się brak dramatycznej kompozycyi. Szereg rodzajowych obrazków i kilka błyskotek, obliczonych na gusta galeryi, wszystko to wywiera wrażenie krawieckiego wysiłku. Jakieś tam szycie, krajanie, strojenie w guziki i tasiemki, a ostatecznie, mimo igły, miary i żelazka, garnitur miejscami za długi i za szeroki a fason niesmaczny. Sama tragedya bohaterki posiada kilka wzruszających momentów, że tylko wspomnę obraz III w domu rodzicielskim i scenę konania, lecz i ten wątek sztuki nie wypręża się należycie, nie układa w silne węzły dramatyczne. Tak się to snuje wszystko, jak wóz w piasku głębokim, a czego nie popsuła aktorka, to do reszty popsuli aktorzy. Była to przedewszystkiem Kaśka Karyatyda bez Kaśki i bez Karyatydy. Panna Pankiewicz nie posiada ani warunków zewnętrznych do tej roli, ani nie zdołała nagiąć talentu swojego, lubiącego stąpać po salonowych posadzkach i podsłuchiwać subtelne dźwięki dusz przecywilizowanych, do dziwnie prostej i zdrowej natury wiejskiej dziewczyny o silnych zmysłach, żelaznych nerwach i pierwotnych instynktach. Zamiast duchowego i fizycznego zdrowia zagrały tam jakieś tony chorej kultury a wręcz niesmaczne wywierało wrażenie bezustanne balansowanie między salonem i kuchnią, udawanie gminnego charakteru, przeciwnego całej istocie artystki.

I cały ten ensemble stróżów i kucharek sobotniej premiery pozostał sztucznym produktem, mimo rozpaczliwych wysiłków przefarbowania swej skóry na kolor suteren i poddaszy. Jest to wogóle nieszczęściem naturalizmu, lubującego się w typach zaułkowych, że wchodząc na scenę, nie znalazł aktorów właściwych, a zanim szkołę wytworzył, już gwiazda jego gasnąć zaczynała. Widziałem wiele utworow tego kierunku, lecz rzadko tylko zdarzyło mi się spotkać aktora, tłomaczącego wiernie postacie nizin społecznych Niemal wszyscy cywilizowali, karykaturowali lub rozwadniali typy suterenowe, a nigdzie nie znalazłem tak mało realistycznego talentu, jak właśnie na polskich scenach. Z wszystkich artystów „Kaśki Karyatydy“ jeden p. Królikowski zasługuje na wyróżnienie. Jego chłopiec-niemowa, posługacz w pracowni rzeźbiarskiej, był w swoim rodzaju małem arcydziełem. Pan Królikowski umie patrzeć na ludzi i umie wcielać obserwacye swoje. *W. R.*

Spojrzałem na Gałeckiego z wyrzutem, lecz on wesoło zawołał:

— Nie potrzebujesz pan mieć najmniejszej obawy przed tymi poczciwcami, oni nie zdrajcy. Zresztą, ponieważ sami się domyślali, żeśmy zbiegami, przyznałem im nakoniec racyę. Tem serdeczniejsze będzie ich współczucie dla nas.

— Panie Kaźmierzu — odparłem — jeżeli przez całą drogę głupstwa nie zrobiłeś, to zrobiłeś je obecnie, a do tego kapitalne. Czy nie widzisz pan, że naprzeciw ciebie siedzący Francuz każde nasze słowo pochłania. Czy i on wtajemniczony?

— Dziękuję za komplement — rzekł Gałecki — ale nie widzę żadnej w mym kroku niedorzeczności. Nie inaczej, że i moje vis-à-vis słyszało wszystko, nawet właściciel gospody wie, kim jesteśmy, i sam się podjął przenocować nas dla bezpieczeństwa. Zostaniemy więc na noc u niego.

— Ej, ej, panie Kaźmierzu, zobaczysz pan, że jeszcze w samym końcu dostaniemy się w matnię. Lecz piwo nawarzone, będzie je pił ten, który je nawarzył. Co do mnie, ja pod żadnym warunkiem nie pozostaję w tej gospodzie. Postaram się raczej naprawić to, coś Pan mimowoli popsuł. Spuszczałeś się Pan dotychczas zawsze na moją radę, to i tym razem proszę mi zaufać tem bardziej, że dziś Pan wszystko widzisz w zbyt różowych kolorach, — dodałem wskazując na bateryę wypróżnionych flaszek i butelkę z absyntem.

— A pan znów po dawnemu pesymista! Nie widzę najmniejszego niebezpieczeństwa ze strony tych ludzi.

Na przeciw siedzący Francuz zabierał się właśnie do wyjścia. Przechodząc obok gospodarza zmienił z nim spojrzenie znaczące i jakieś niezrozumiałe wyrzekł słowa.

To było rozstrzygającem. Powstałem również i doganiam Francuza przed domem. Interpeluję go niby od niechcenia, czemu tak rychło się oddala i zapraszam do powrotu, a gdy na żaden sposób do tego nakłonić się nie daje, proponuję mu, by nas gdziekolwiekbądź zaprowadził, gdziebyśmy sami w trójkę, „w porządniejszem“ towarzystwie mogli się pobawić.

To połechtanie ambicyi i próżności jego poskutkowało. Wrócił ze mną do wspólnego stołu, gdzie ja, zakomunikowawszy Gałeckiemu cośmy postanowili, na Boga błagam, by poszedł z nami.

— Vis-à-vis pańskie było w drodze po policyę — powtarzam — nie można tego człowieka spuścić z oczu. Powiemy gospodarzowi, że wrócimy później, damy zaliczkę Hiszpanowi na jutrzejszą podróż i wyjdziemy z Francuzem, którego upoiwszy łatwo się pozbędziemy, by potem stanowczo opuścić Algier i z Tunisu już próbować przejazdu do Europy.

Wspomnienie policyi otrzeźwiło do szczętu mego towarzysza. Opowiedziawszy się gospodarzowi i marynarzowi hiszpańskiemu wyszliśmy w trójkę na miasto pod przewodnictwem Francuza.

Miejsce, dokąd nas zaprowadził, było to jednym z osławionych domów rozpusty. Sądząc z wrzawy i zgiełku przed domem przypuścić było można, że to teatr, lub „tingl-tangel“. Od ulicy tylko ciężką draperyą i bogatemi portyerami odłączona, wybudowaną była wspaniała scena, na której dorodne dziewczęta w kostyumach baletniczek ponętne wyprawiały tańce, wabiąc swemi wdziękami licznie nagromadzoną publiczność do wejścia we wnętrze tej świątyni Wenery. Sala, do której się po kilku stopniach schodziło, rzęsisto była oświecona i z przepychem prawdziwie wschodnim udekorowana. Posadzka mozaikowa, śliczne kandelabry, ogromne zwierciadła, fontanna, kwiaty, sofy, fotele, kanapki itd. imponujące czyniły wrażenie. Myślałeś, że się znajdujesz raczej w oranżeryi niż w domu rozpusty i grzechu. Dziewcząt aż dwadzieścia w przezroczystych muślinach przyjmowało gości, to zalecając się, to nęcąc, to prosząc o poczęstne. Żałowałem, iż nie miałem wolnej głowy od kłopotu, zbyt ponętne były czarodziejki, by módz się im oprzeć w młodym wieku i z krwią gorącą. Pytałem kilka z rzędu o miejsce ich urodzenia, każda szepleniąc po francuzku odpowiadała: z Malagi. A że przytem zamiarem naszym było pozbyć się Francuza, nadarzała się tutaj najlepsza, choć arcykosztowna, sposobność. Rafinowane zalotnice i gospodarz ich tak

Koncert Tow. śpiewu pod dyrekcyą prof. Henniga,

(dnia 23-go kwietnia r. b.)

Do najwięcej zasłużonych około podniesienia zmysłu i smaku muzycznego w Poznaniu zaliczyć muszę wybornie zorganizowane przez prof. Henniga Towarzystwo śpiewu. Towarzystwo to wykonało w czasie swego ćwierćwiekowego istnienia najwspanialsze i najcenniejsze utwory literatury muzycznej, wymagające wiele pracy i ofiar tak ze strony dyrygenta jak i członków. W ostatnim koncercie zapoznało Towarzystwo słuchaczów ze sławnem oratoryum Haendla: „Izraelici w Egipcie“. Niespożyta siła i artystyczna wartość tego dzieła spoczywa w chórach wspaniałych, w których kompozytor niewątpliwie na długo jeszcze pozostanie wzorem. Słabą zaś stroną utworów Haendla jest wogóle solowy śpiew, przeładowany po części szablonowemi koloraturami i suchemi, pozbawionemi wdzięku ruladami, które przed przeszło 150 laty zachwycały wprawdzie słuchaczów, dziś jednak straciły dla nas wartość i sztywnemi nam się wydają. Uwzględniając jednak fakt, że i najcenniejsze utwory, czy to z literatury, czy malarstwa, lub innych sztuk pięknych, posiadają zwykle piętno czasu, w którym powstały i ówczesnej mody, i że to wielkiego uszczerbku prawdziwej ich wartości artystycznej nie przynosi, zaliczyć muszę wykonane dzieło Haendla, mimo niektórych przestarzałych ustępów, nie budzących dziś interesu, do najwspanialszych oratoryów wszechliteratury muzycznej. — Kompozytor przedstawił nam w I-ej części smutek i cierpienia ludu wybranego w Egipcie, dalej okropne plagi egipskie, cudowne wyprowadzenie Izraelitów z niewoli i zniszczenie Egipcyan. Część II składa się na wspaniałą i wzniosłą pieśń dziękczynną całego Izraela za wyswobodzenie z ciężkiej niewoli.

Na tle tych smutnych stosunków i dalszych wydarzeń, znanych dobrze każdemu, nakreślił mistrz szereg potężnych obrazów muzycznych, w których tętni cała skala uczuć ludu żydowskiego od czarnego zwątpienia i bezgranicznej rozpaczy, aż do radości w niebiosa bijącej. Obrazom tym nadał kompozytor przy pomocy charakterystycznego i dekoracyjnego akompaniamentu orkiestry, przedstawiającego np. plagi egipskie, przejście Izraelitów przez Czerwone morze itp., łudzącą wierność. Obok tej bogatej scenery muzycznej w akompaniamencie, obok głęboko uczonych form w ustępach chórowych, uderza w tym utworze nieraz wielka prostota nuty ludowej. Bogaty zasób myśli i motywów wytworzył jednak pewną rozwlekłość całej kompozycyi, wskutek częstych zaś przeróbek dzieła, pomyślanego pierwotnie inaczej, popadł kompozytor w niepotrzebne repetycye, osłabiające wrażenie estetyczne. To też utwór ten zyskał tylko przez opuszczenie mniej ważnych chórów i nudnych partyi solowych.

Przygotowania do wykonania niełatwego utworu musiały być bardzo gruntowne i staranne, bo chór Towarzystwa dzielnie się wywiązał ze swego zadania. Altystka, p. Thomas, odśpiewała swą solową partyę z ciepłem i przejęciem sie, głos jednak, z natury trochę szorstki, nie zadowolił mnie wszędzie; tenor, pan Hintzelmann, śpiewał często przez nos i detonował znacznie; p. Rolle — bas — posiada wprawdzie wielką rutynę i śpiewa muzykalnie, ale głos jego brzmi oschle. Z poznańskich śpiewaków-dyletantów, biorących udział w koncercie, zasługuje na pochwałę sopranistka, p. Dr. Schl..., która Aryę: „Aber Du liessest weh'n Deinen Wind“, z wyjątkiem małej niedyspozycyi na początku, bardzo poprawnie, miłym i przyjemnym głosikiem odśpiewała.

Orkiestra, złożona przeważnie z muzyków 47 pułku, sekundowała po części dzielnie, czy jednak dobranie fortepianu do wzmocnienia oryginalnego — Haendlowskiego — miejscami trochę chudego akompaniamentu, szczęśliwem nazwać można, — wątpię. Organy albo ostatecznie harmonium byłyby tu stosowniejszym instrumentem.

Panu prof. Hennigowi należy się w każdym razie gorące uznanie i szczere podziękowanie za tak staranne i piękne przygotowanie bądź co bądź wspaniałego i prawdziwie wartościowego utworu wielkiego muzycznego epika Haendla.

Edwin Jahnke.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kongres niewieści.

(Głosy prasy).

Kongres kobiecy odbywał się w ciągu kilku dni w Paryżu. W wielkiej sali pałacu Towarzystw naukowych, tuż obok bulwaru St Germain, zgromadziło się około 500 osób, delegatek, delegatów i widzów. Delegatów i delegatek było przeszło sto; prawie wszystkie kobiety, znane w różnych krajach z ruchu emancypacyjnego, brały udział w tym zjeździe. Reprezentowane były kraje następujące: Włochy, Dania, Holandya, Belgia, Ameryka, Niemcy, Rumunia, Szwecya, Austrya Francya i — Polska. Nie mniejszą od językowej i narodowościowej była różnorodność toalet i wyglądu. Ale i odcieni przekonaniowych politycznych ukazała się cała tęcza, od najumiarkowańszych do najskrajniejszych: filantropki, reformatorki, żądające minimum ulepszeń, obok żywiołów radykalnych; wreszcie arystokratki, jak księżna-wdowa de Castro, bogaczka, jak dobroczynna pani Schook Haver z Holandyi, obok robotnic, jak Leonia Rouzade, jak praczka pani Coutant.

Dla tego zapewne, dzięki tej różnolitości żywiołów składowych, kongres zaczął się od. . zawziętej kłótni o prezydyum. W końcu obrano Nanę Pagnon, francuzkę. Prezydyum honorowe ofiarowano pani Thérèse Deraismes, siostrze zmarłej niedawno bojowniczki o sprawę kobiet, Maryi Deraismes, i panu Leonowi Richer, sprawie sprzyjającemu. Asesorami zjazd mianowniłpp. Maryę Szeligę Loëvy, van Kol z Gandawy i pana Eug. Potonié-Piérre, siwego staruszka, założyciela Towarzystwa pokoju międzynarodowego.

Pani Pagnon jest to osoba młoda, elegancka, przystojna, umiejąca taktownem słowem przywołać do porządku mówców i krzykliwych słuchaczów. Otworzyła ona posiedzedzenie mową, w której skreśliła ogólne za-

---

umiał pokierować sprawą, że zapłaciliśmy w dwójkę przeszło 140 franków za szampana, który przy tem przy lichej swej wartości równie był drogi jak nasz pseudoszampan „mousseux“ w lokalach z damską usługą. Wreszcie Francuz oddalił się do jednego z przyległych gabinetów ze swą odaliską. Tę chwilę uważaliśmy za najstosowniejszą do oddalenia się. Uregulowawszy z bólem serca nasze rachunki, wychodzimy na ulicę.

Wtedy wydarzyła się fatalna katastrofa. Trafem szedł Gałecki przodem, ja postępowałem za nim. Nagle przed sceną ujrzeliśmy trójkę żandarmów w towarzystwie Francuza, który widocznie wymknął się niepostrzeżenie z objęć odaliski i sprowadził policyę. Jeden z żandarmów, kładąc swe ramię na adjutancie, głośno się doń odezwał:

— *Vous êtes déserteur, au nom de la république, je vous arrête.*

Na to dodał Francuz, wskazując na mnie: *„voilà l'autre compagnon. Lui aussi est un deserteur“.*

Od razu pojąłem całą sytuacyę. Bez namysłu, stawiając wszystko na jednę kartę, uderzyłem w bok, skoczyłem w poprzeczną ulicę i jak wiatr pędziłem w dół ku morzu, ku bulwarom, sam nie wiedząc dokąd.

Stanąłem nad morzem. Spoglądam po za siebie, żaden hałas nie zdradza, iż pogoń mnie ściga.

Było już rychło rano, kiedy zapukałem do bramy podrzędnego hotelu. Zażądałem numeru i starałem się usnąć. Dopiero o późnej godzinie, kiedy słońce weszło na niebo, sen mnie ogarnął. Spałem wśród obrazów niepokojących, jako zbrodzień lub skazaniec, oczekujący w dzień następny krwawego wyroku.

Kiedym około południa się ocknął, poprosiłem o kawę; podano mi takową wraz z gazetą: „Etoile d'Algérie“. Mechanicznie przeglądam dziennik i — *horresco referens* — widzę notatkę, którą długo u siebie chowałem w wycinku. Oto jej treść:

„Policya nasza jest na tropie dwóch zbiegów z legii zagranicznej. Wczoraj, w ulicy deja, schwytano niemal obydwu. Dzięki zgiełkowi i zamieszaniu jeden z nich wyszedł bezkarnie. Drugi, niższego wzrostu, aresztowany, w drodze do więzienia policyjnego, bez wyznania nazwiska swego, strzałem z rewolweru, którego mu nie odebrano dość wcześnie, koniec swemu życiu położył.“

Struchlałem. Ból szarpnął za serce. Chciałem w pierwszej chwili pójść do władz, wskazać siebie jako drugiego, połączyć los Gałeckiego z swoim, tymczasem zimniejsza rozwaga i zastanowienie wkrótce wzięły górę i determinacya wisielca mną owładnęła.

Tymczasem niebezpieczne położenie stawało się coraz groźniejszem. Przestałem już wierzyć w możliwość szczęśliwego powrotu do Europy. Chwile takie w życiu ludzkiem są zdolne zamienić człowieka albo w bohatera albo w waryata. Okręt pocztowy towarzystwa „*messageries maritimes*“ dzień w dzień odchodził do Marsylii. Choć byłem pewien, iż jechać francuzkim okrętem pocztowym to zguba prawie niechybna, postanowiłem z niego korzystać.

Nad wieczorem zapisałem się w księgi okrętowe Francyi pod fałszywem nazwiskiem: Jean Brandt, peintre d'Amsterdam. Koszula ma bowiem pochodząca od Junoszy Bojanowskiego nosiła wyszyty monogram z koroną J. B. Cudem jakimś nikt nie zażądał odemnie papierów legitymacyjnych. Bilet wydany mi został bez trudności i łódką dobiłem do pocztowego okrętu. Przed odjazdem patrol z 3 żandarmów złożony przemustrował szereg pasażerów, przejrzał bilety i karty, porównał je z księgami okrętu i objął straż bezpieczeństwa podczas przejazdu. Każdy okręt francuzki pocztowy, jak się później dowiedziałem, jedzie pod eskortą żandarmeryi.

Stanęliśmy w Marsylii po niespełna dwudniowej jeździe, podczas której nie wychodziłem z kajuty wcale na pokład, nie jadłem, nie piłem, by jak najdalej zostać od żandarmów.

Bez wątpienia byłem sygnalizowany i listami gończemi zewsząd ścigany. Wiadomość w dzienniku algierskim, długość czasu po za garnizonem koniecznie przypuszczać to kazały.

Dla tego też obawa, że przepłynąwszy morze, utonę na brzegu, była zupełnie uza-

rysy sprawy kobiecej. Przemówienie swoje prezydująca zakończyła słowami: „Francya pierwsza ogłosiła prawa człowieka; czyż ostatnia uzna prawa kobiety?“ Zabiera głos pani Szeliga w imieniu delegatek zagranicznych. Wychwala Francyę, jako przewodniczkę cywilizacyi.

Następnie zaczynają się obrady. Rozumie się — pisze jeden z korespondentów paryzkich — niepodobna mi tu zdawać z nich szczegółowego sprawozdania. Obrady są wogóle bardzo burzliwe, powiedziałbym nawet... nieporządne. Widocznie panie delegatki nie umieją metodycznie pracować. Każdy mówca, bez względu na płeć, występuje ze swemi wnioskami często sprzecznemi, dyskusya odbiega od przedmiotu, audytoryum często hałasuje piekielnie i w końcu, przy głosowaniu, niejedna ważna kwestya zostaje pominięta lub rozstrzygnięta z wewnętrznemi sprzecznościami. Ba! czasem delega ki niezupełnie dokładnie znają kodeks cywilny i inne urządzenia obecne, które zwalczają.

Od zacnej Polki, zajmującej w naszej literaturze znakomite stanowisko — pisze „Reforma“ — otrzymaliśmy w liście z Paryża, z d. 10 bm. następującą charakterystykę kongresu: „Od kilku dni odbywa się tu „kongres feministek“. Z Polek biorą w nim czynny udział dwie głośne propagatorki, panie Szeliga i Mękarska (Munk). Zabawne sceny ośmieszyły ten kongres w opinii poważnych Polaków, zamieszkujących stolicę największej w obecnych czasach demoralizacyi. Dwie francuzki pokłóciły się o prezydenturę. Jedna z nich, chcąc udowodnić prawa swoje, oświadczyła, że jej mąż jest radcą w magistracie. „Mąż! mąż! — wykrzyknęły liczne głosy — niechże tu przyjdzie, niech wesprze żonę, która bez niego nie może sobie poradzić“.

„Pani Mękarska głosowała za wolnemi związkami bez kościoła, a nawet bez mera. Niektóre panie wystąpiły w świetnych strojach, inne — zwłaszcza studentki, w odzieży zaniedbanej. Ztąd podzielono kongres na dwa stronnictwa: „jedwabnych i wełnianych spódnic!“ Byłoby to wszystko bardzo śmieszne, gdyby się serce nie ściskało wobec tylu niedorzeczności, w których biorą udział i Polki nasze, lgnąc do różnorodnych, radykalnych prądów emancypacyjnych. które ani im zaszczytu nie przynoszą odstępstwem od praw i obowiązków właściwych, ani pożytkiem nigdy się nie staną“.

W ostatniej Kronice Tygodniowej „Kuryera Codziennego“ Bolesław Prus, autor „Emancypanek“, w te słowa pisze o kongresie:

„W tym czasie, kiedy „nadobne warszawianki“ na balu wiosennym miażdżyły serca swoich zmizerowanych wielbicieli za pomocą „mglistych spojrzeń i subtelnych uściśnień“, w Paryżu 100 feministek i kilkuset feminiściarzy naradzało się nad feminizmem.

Dla tych, którzy nie wiedzą, dodam, że „feministka“ znaczy — przyjaciółka, czy zwolenniczka kobiet, a „feminiściarz“ jest to taki pan, który uwielbia tylko feministki. Tłómaczy on swoim przyjaciółkom, że dziś — już nie istnieje różnica płci, że kobieta jest to samo, co mężczyzna... Zupełnie jak owczarz, który, strzygąc owieczkę, zapewniałby ją, że wełna już wyszła z mody.

Pamiętam, kiedyś, przed laty, cała płeć piękna oburzyła się na mnie, gdy w najprostszy sposób ośmieliłem się przedstawić sesyę emancypanek.

— To jest paszkwil!... to jest karykatura!... Gdzie autor widział podobne zgromadzenie kobiet!...

Gdzie?... A choćby teraz w Paryżu. Oto jak odbywały się te nadzwyczajne sesye.

Kiedy zebranie mianowało prezydentką sesyi panią Pognon, zerwała się pani Rousade, wołając:

— Tu są doktorki, które powinny prezydować, a nie jakaś tam oberzystka!... (Albowiem pani Pognon utrzymuje pokoje umeblowane).

A gdy sekretarka zarzuciła pani Rousade, że sieje niezgodę, obrażona dama poczęła wzywać na pomoc swego męża.

— Mój mąż — wołała — jest radcą municypalnym i ujmie się za mną!...

Ale mężowi nie wolno było odezwać się na posiedzeniu, które stanowi urzędowy protest przeciw wszelkiemu mieszaniu się mężczyzn do spraw kobiecych. Natomiast odezwał się.. chór studentów, którzy usłyszawszy wezwanie męża, w jednej chwili zoryentowali się i zaintonowali pieśń — o obowiązkach mężowskich.

„Journal des Débats“ twierdzi, że studenci odzywali się ciągle „w sposób grubiański, uchybiając często najprostszym wymaganiom przyzwoitości względem kobiet“.

Po uspokojeniu pierwszych wybuchów wesela jedna z dam zażądała, aby: państwo dostarczało środków na wyżywienie, odzież i naukę dzieci, krótko mówiac: „na tę funkcyę społeczną, która nazywa się macierzyństwem“. Przeciw czemu żywo zaprotestowała inna dama, wołając:

— Cóż to, więc kobiety zawsze mają być dostawczyniami mięsa dla armat?...

Chcąc załagodzić efekt tego odezwania się, a może i zapobiedz ostatecznej zagładzie ludzkiego rodu, feminiściarz p. Robin, oczywiście człowiek młody i zapalczywy, zaproponował „wolną miłość“. Temu zaś sprzeciwiał się już widać nieco starszy i doświadczeńszy pan Léger, zalecając „małżeństwa z miłości“.

Zkąd wzięli się i czego mogli chcieć „feminiściarze“ na sesyi czysto kobiecej? łatwo zgadnąć. Trudniejszem jest do pojęcia: zkąd wzięli się tam studenci, z cechującą ich przytomnością umysłu i bezceremonialnością.

Otóż studentów, właśnie dla oponowania partyi arystokratycznej, sprowadziła pani Coutant, praczka. Za co oni wywdzięczyli jej się w ten sposób, że gdy pani Coutant zaczęła wielką mowę, student p. Mélia odebrał jej głos.

Nowy ten męzki wynalazek natychmiast został przyjęty przez płeć piękną. Więc gdy jeden z feminiściarzy zabrał głos, jakaś dama zawołała:

— Siadaj pan!... Jesteś zanadto brzydki...

Krótko mówiąc, był bal nadzwyczajny i o wiele prześcignął to, co powieści piszą o damskich sesyach.

Nie można powiedzieć, ażeby sejm niewieści składał się z samych uciesznych i nadzwyczajnych wydarzeń. Owszem, zdarzały się rozprawy poważniejsze, jak: kwestya ułatwienia rozwodów, wsparcia dla ubogich matek i dzieci, zakładania państwowych szwalni, opieki nad zdrowiem robotnic i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że z podobnych zebrań jakiś pożytek wyniknąć może: kobiety bowiem poruszają na nich wiele kwestyi społecznych, na które mężczyźni nigdy nie zwróciliby uwagi. Ażeby jednak uniknąć chaosu, jaki panuje dzisiaj, damskie sesye muszą „zróżniczkować się“, tj. podzielić na pewne grupy. Inną bowiem jest rzeczą narada nad losem ubogich matek lub szwaczek, a co innego śpiew chóralny, choćby o obowiązkach mężowskich, albo wniosek o „wolnej miłości“.

Każda taka sprawa powinna toczyć się w odrębnym lokalu: gdzieindziej śpiewy, a gdzieindziej macierzyństwo.

Rzeczywiście, w tem, co dzisiaj nazywa się „kwestyą kobiecą“, widać dwa niezmiernie różne od siebie prądy, które mieszać się z sobą nie powinny, lecz które mieszają się ciągle na feministycznych kongresach. W jednym z tych prądów widzimy kobiety, które chcą być żonami i matkami, a tylko pragną ulepszyć położenie własne i swojego potomstwa. Do drugiego zaś prądu należą kobiety, które nigdy nie chciały czy nie mogły być ani żonami, ani matkami, które do tych obowiązków prawie że nie posiadają kwalifikacyi, a jednak — mają prawo do życia i chcą pracować i żyć.

Myślę, że uniknętoby wielu nieporozumień, chóralnych śpiewów i jałowych wniosków, gdyby damy, zjeżdżające się na kongres, miały do narad dwa oddzielne salony. Jeden z napisem: „wolna miłość“, drugi: „małżeństwo i macierzyństwo“.

Jestem zaś prawie pewny, że do tej drugiej izby nie przyszliby ani studenci, ani feminiściarze. Bo jakkolwiek bardzo wielu mężczyzn płeć piękną słusznie uwielbia, do żeniaczki jednak nie każdy ma odwagę“.

---

sadnioną. Czułem, że w Marsylii czyhają na mnie żandarmi.

Wieczorem zbliżaliśmy się do portu marsylskiego. „Francya“ — nasz okręt może o $^1/_2$ kilometra od brzegu zarzuciła kotwicę. Przewóz na ląd stały odbywa się małemi łodziami wprost do przystani, gdzie czerń celników i policyi oczekuje i kontroluje pasażerów.

— Niezawodnie — mówiłem do siebie — czekają na ciebie. Stawiając nogę zmęczoną na suchy ląd Europy, równocześnie oddajesz się w ręce dybiących na ciebie Francuzów.

Postanowiłem zatem zrezygnować z łodek przewozowych. W ciżbie wysiadających nikt mnie nie śledził. Na tylnym pokładzie zsunąłem się wśród cieni wieczornych we fale morza, uczepiłem się łańcucha kotwicowego, odczekałem uspokojenia ruchu pasażerskiego, potem po długiej godzinie czekania w zimnym elemencie przebyłem w pław przestrzeń dzielącą mnie od lądu stałego. Dobiwszy szczęśliwie do brzegu i ochłnąwszy przez noc pogodną, rannym pociągiem, gnany furyami, podążyłem dalej ku Lyonowi. Dnia następującego byłem w Genewie, a w tydzień później wyczytałem w jednym z dzienników francuzkich wyrok sądu wojennego, skazujący na śmierć Czałuta.

Poznań, 19 stycznia 1896.

Kronika Wiedeńska.

(Spóźnione.)

Wiedeń, 23 kwietnia.

(Lueger po raz trzeci. — Wesołe więzienie w Budapeszcie. — Rzeźbiarz Tilgner. — Pomnik Mozarta. — Słowo o reklamie wiedeńskiej.)

Przed kilku dniami został *Lueger* poraz trzeci wybrany burmistrzem stolicy. Głosowało 138 radnych, z których 96 oddało swoje wotum Luegerowi, 42 byłemu burmistrzowi Grueblowi. Wybór ten dowodzi, z jaką żelazną wytrwałością i konsekwencyą prowadzona jest walka między partyą antisemitów a partyą liberalną, względnie rządem i koroną. Mamy tu tak naprężone stosunki, że pobyt w Wiedniu przykrym się staje dla wszystkich, którzy nie są krewniakami ministrów, albo urzędnikami ministeryów. Najbardziej odczuwają to położenie Polacy mieszkający w stolicy dla zarobkowania. Tubylcy odnoszą się do nas jak najniesympatyczniej. Żydów polskich otaczają żydzi — Polaków nikt, a najmniej ministeryum spraw wewnętrznych. Ze względu na panujące okoliczności — wszyscy Polacy mający wpływy w rządzie postanowili

rodaków swoich odsunąć od wszelkich protekcyi. „Panie drogi, byle nie teraz, byle nie w tych ciężkich czasach“, — oto są słowa, któremi tłomaczy się każdy poseł polski, urzędnik, a nawet sam prezydent ministrów! Dokąd to trwać będzie, niewiem. Pewnem jest tylko, że ciągle się sytuacya zaostrza. W przyszłym tygodniu ma sam cesarz rozstrzygnąć kwestyę Luegera (Stało się to już, jak wiadomo z codziennych czasopism. Korespondencya niniejsza była wydrukowaną przed otrzymaniem telegramu o chwilowem ustąpieniu Luegera. Przyp. Red.) — potwierdzić jego trzeci wybór albo odrzucić. Co dalej będzie? Chodzą pogłoski, aby zwołać w tej kwestyi sejm Niższej Austryi, ale cóż ci posłowie uradzą? Badeni nie znając stosunków wiedeńskich, narobił poprostu bigosu pierwszem rozwiązaniem rady miejskiej i z miejskiej kwestyi autonomicznej stworzył kwestyę polityczną doniosłej bardzo wagi wskutek szalonej agitacyi. W tych warunkach trudno teraz dojść do ładu, — przyjaciół Badeni zyskał tylko między żydami, nieprzyjaciół w całej publiczności Wiednia, bo nawet Polacy są już przeciw niemu.

W Peszcie, tuż przed otwarciem wystawy jubileuszowej, przezwanej tutaj „Bombastyczną“, wykrywają się tak okropne rzeczy, że mimowoli nabiera się wstrętu do ludzi i rządu węgierskiego. Że o „Morskiem Oku“ nic nie słychać — no, to nic dziwnego, bo prędzej czy później będzie ono węgierskiem, jak de facto jest już niem dzisiaj. Mówią za to głośno o szachrajstwach i grze fałszywemi kartami w „klubie narodowym“ i ciągłych inkryminacyach wzajemnych z tego powodu między... posłami węgierskimi. W każdym niemal telegramie donoszą o jakichś łajdactwach, kradzieżach i rozbojach. Najklasyczniejsze jest przecież to, że z więzienia węgierskiego uciekają w biały dzień złodzieje w rodzaju takim, jak ów sławny rozbijacz kas ogniotrwałych Papacosta. Skazany on był na sześć lat ciężkiego więzienia. Jakie to tam było to więzienie, widać z tego, że Papacosta żył w ścisłej przyjaźni z dozorcami, miał dwa własne ubrania i *cylinder* do wyjścia (!), a kiedy ułożył sobie plan ucieczki, kazał się przenieść jako chory do szpitala i ztamtąd z dwoma również „chorymi“ przyjaciółmi czmychnął! Jakim sposobem — dotąd niewiadomo, dość, że uciekł.

Bardzo wielką stratę poniosła sztuka wiedeńska w skutek śmierci rzeźbiarza *Wiktora Tilgnera.* Człowiek w sile wieku, bo zaledwie w 52-gim roku życia, umarł nagle bez cięższej choroby. Był to doskonały artysta, wprowadził rzeźbę wiedeńską na tory realistycznego pojmowania, a chociaż jako barokista, nie wszystkim się podobał, to przecież stworzył wiele dzieł wartościowych i cennych pod względem logicznego przeprowadzenia i orginalnego pojęcia. Ostatnią jego robotą było wykonanie pomnika dla *Mozarta.* Wczoraj właśnie nastąpiło uroczyste odsłonięcie tej pracy, w trzy dni po śmierci jego twórcy! Szczególny wypadek. Cały Wiedeń, ukochany przez nieboszczyka, miał tedy z jego łaski dwa widowiska: pogrzeb Tilgnera i odsłonięcie pomnika Mozarta. Były to rzeczywiście wielkie uroczystości dla publiczności wiedeńskiej, która tysiącami zaległa ulice, aby widzieć trumnę z ciałem wielkiego rzeźbiarza, — biła się z policyantami, aby wejść do pokoju, gdzie leżało ciało nieboszczyka, — ryzykowała aresztowanie, ale musiała być pierwszą, nawet przed rodziną zmarłego, w kościele, a w trzy dni później zaległa plac, okna i dachy przyległych kamienic, aby widzieć odsłonięcie pomnika Mozarta. I myślicie, że to wszystko z pietyzmu dla śp. Tilgnera, albo miłości dla sztuki? Broń Boże! Sztuka i artyści nie obchodzą Wiedeńczyków ani trochę, dopóki nie dają im... hecy. - „*A Hetz muass da sein! dös is grund!*“ Dla artysty lepiej, że umarł, bo nie czyta idyotycznych krytyk swego dzieła, któreby żydowska reporterya, recte krytycy, pisali; — dzisiaj, wobec zaledwie do ziemi złożonego trupa, trudno przecież wymyślać na pomnik. Więc się pisze od kilku dni, że szkoda mistrza. — Kiedy żył, to się go naciągało w gruby sposób i pisało reklamy, za które musiał płacić wiele, bardzo wiele! Szkoda, że umarł, bo teraz płacić nie będzie. Krytyka tutejsza jest tak rozbestwiona łapówkami, jakie płacą za reklamy aktorzy, a szczególniej aktorki, że wprost wstrętne czyni wrażenie Wszystko, co czytacie o heroinach i subretach *minorum gentium.* wszystko to jest za pieniądze. Każdy portret umieszczony w piśmie jest zapłacony, tak samo jak każda wzmianka. A kto płaci? Często sakiewka, często też cnota i wdzięki aktorki, która je sprzedaje więcej dającemu. I nikt się temu nie dziwi, przeciwnie nielubianą jest aktorka uczciwa, która nie jest metresą! Z Wiednia i Paryża przeniosła się ta moda i do Warszawy, — tylko tam nie doszło do tego jeszcze, aby redaktorzy jawnie i bezwzględnie upominali się o zapłatę. Z moskalami — jeżdżą już niektóre nawet publicznie i dobrze im z tem....

Xi.

Listy z Berlina.

(Hammerstein. — Hypokryzya jego. — Alter ego. — Wystawa).

Berlin, 29 kwietnia.

I oto zasiadł na ławie oskarzonych jaśnie wielmożny pan baron von Hammerstein. On, który przez tyle lat drapował się w togę szermierza moralności i porządku, który z trybuny parlamentarnej i z redakcyi na Wilhelmstrasse wygłaszał kazania tchnące duchem ewangelii i naszpilkowane cytatami z Biblii, siedział obecnie obok woźnego sądowego jako oszust i rozpustnik. Obdarzony jednak miedzianem czołem, siedział on i teraz dumnie, z pięknie ufryzowaną głową, z zakręconemi wąsami, jak niegdyś w Reichstagu, gdzie tak energicznie grał rolę cenzora obyczajów. Wogóle, zdaje się, całe nieprzyjemne zajście, tułaczka po obcych krajach, powrót na łono ojczyzny w towarzystwie ajentów policyi i spędzenie kilku tygodni w więzieniu, nie oddziałały zupełnie na potężnego barona. Pozostał on tym samym, co niegdyś, junkrem, który posługuje się wszelkiemi środkami dla osiągnięcia swych celów. Podobnie jak niegdyś starał się oddziaływać na serca i obudzić religijne uczucia, gdy szło o spotęgowanie wpływu swych braci i mydlenie oczu opinii publicznej, tak dziś cytował św. Pawła, by udawać wstrząśniętego żalem grzesznika. Podobnie jak niegdyś starał się rozczulić słuchaczów smutnym obrazem nędzy wschodniopruskich feodałów, tak dziś uderzał w strunę litości, udając złamanego starca, stojącego u krawędzi grobu, chociaż, jak zapewniają pisma, złamany starzec pochłania tak sute obiady, iż wprowadza tem w podziw stróżów więziennych. Podobnie jak niegdyś w listach obrażał majestat cesarski za to, że rząd nie chciał złożyć na ołtarzu junkierskim dobra swego narodu, tak dziś groził ujawnieniem niemiłych dla rządu tajemnic w razie, jeśli sędziowie nie zdejmą opaski z oczów Temidy, by ujrzała, iż ma przed sobą wodza konserwatystów i redaktora „Gazety Krzyżowej“. Gdy się patrzało na Hammersteina i obserwowało jego zachowanie się w sądzie, otrzymywało się wrażenie, iż się ma przed sobą typowego junkra; był on nim bowiem aż do najmniejszych szczegółów. Gdy otaczające go w partyi lub redakcyi osoby zaglądały mu do kart i domyślały się jego malwersacyi, zmuszał ich do milczenia, przystawiając im, jako mistrz pojedynków, rewolwer do piersi. Jest to kość z kości i krew z krwi tych samych junkrów, co ściągnęli przed tygodniem na siebie w parlamencie gromy oburzenia za naigrawanie się z kodeksu karnego przez przelewanie krwi niewinnej w pojedynkach. Tylko taki mistrz fałszerstwa mógł być wodzem partyi, która bierze na siebie rolę patronki moralności, podczas gdy sama brnie w błocie przewrotności. Tym ludziom, mającym, jak niegdyś filozofowie, podwójną naukę eksoteryczną i ezoteryczną, jednę dla mas i jednę dla siebie, byłby niepotrzebny mąż o spiżowych przekonaniach. Nadawał się doskonale na wodza prawicy ten, który w parlamencie przywoływał gniew Boży na grzeszną ludzkość i który po tej mowie, jak opowiadają pamiętniki jego bogdanki, szedł szukać spoczynku w objęciach uwiedzionej dziewczyny. Gdy zaś panna Flora pytała się barona, jak może Hammerstein, grzesznik od stóp do głów, wygłaszać filipiki przeciwko demoralizacyi, baron odpowiadał ze spokojnym cynizmem: wszak na to jestem deputowanym i redaktorem. Partya konserwatywna może być dumną z takiego mistrza. Postawił on, jak opowiadał w sądzie, zasadę, iż partya ładu i porządku powinna iść ręka w rękę z rządem, lecz dla zyskania sympatyi „bydła głosującego“ udawać od czasu do czasu grupę opozycyjną. Dziś, gdy wstępne artykuły pisuje niewinny duchem Kropatschek, a nie bezczelny, butny i hytry Hammerstein, perory wydają się blademi a blaga razi. — Junkrzy wydali dotychczas mało zdolnych ludzi. Obok Hammersteina zabłysnął Bismarck, jego kamrad i dobry znajomy z Friedrichsruh. Jeden podrabiał weksle i rachunki, drugi sfałszował Emską depeszę w r. 1870. Jeden perorował i brnął w rozpuście, drugi wypędzał ludzi z ziemi ojczystej i gwałcił sumienia, a potem mówił, iż „my Niemcy nie boimy się nikogo oprócz Boga“. Oprócz Boga! Wer lacht da? Tamten posługiwał się pistoletem, gdy nie miał innych środków, to samo czynił kanclerz „narodu myślicieli“. Bismarck opowiadał niedawno, iż przed kilkudziesięciu laty przybył do izby deputowanych z rewolwerem i pokazując takowy posłowi Vincke'mu, zagroził, że zastrzeli go, jeżeli zaprojektuje abdykacyę Fryderyka Wilhelma IV. Obydwaj nienawidzieli światło i wolność i z pianą na ustach mówili o Francuzach i Polakach.

Rozwodząc się tyle o Hammersteinie, grzeszę przeciwko aktualności. Nad osobą jego Berlin dawno już przeszedł do porządku dziennego, gdyż dziś wszystkie umysły zaprząta jedna sprawa, — nadchodząca wystawa przemysłowa. Gdziekolwiek się obecnie w Berlinie obrócisz, wszędzie odbija się o twoje uszy pytanie: uda się, czy nie uda? Jest to dziś alfa i omega berlińskiego życia do tego stopnia, iż ktoś zaproponował, aby na pierwszy czas wystawy zamknąć sejm i izbę deputowanych, gdyż Berlin nie jest zdolny zająć się czemkolwiek, co nie ma styczności z wystawą. Jedna część prasy zawodzi w niebogłosy, iż Berlin nie jest jeszcze przygotowanym do przyjęcia gości, druga robiąc „gute Miene zum bösen Spiel“, wychwala, co sił starczy, wystawę. Z niektórych projektów zrezygnowano zupełnie. Tak np. ad acta odłożono projekt zbudowania podziemnej kolei pomiędzy Stralau a Berlinem. Zamiast dwóch elektrycznych kolei, prowadzących do wystawy, Berlin zaprezentuje tylko $1^1/_2$, gdyż jedna linia tymcza-

sem przynajmniej jest zaledwie wykończoną do połowy. Wystawa zaskoczy również w negliżu kilka mostów. Najwięcej zmartwienia sprawia berlińczykom niewykończenie mostu, przerzynającego pryncypalną Friedrichstrasse, tak zw. Weidendammerbrücke, i złośliwie przeinaczonego na „Galgenbrücke“.

Komitet obraduje obecnie nad tem, jak na gwałt drogę prowadzącą do wystawy, obrócić w pyszną *via triumphal's.* Wszystkie te usiłowania atoli spełzną na niczem; jakkolwiek postanowiono rozstawić po drodze obeliski i rozwiesić girlandy, nieoka załość ulic przylegających do wystawy nie da się niczem zatuszować. Wystawa ma przynajmniej jedną dobrą stronę: zniewala berlińczyków do szczerości. Gdybyś kiedykolwiek zarzucił berlińczykowi niegościnność jego współobywateli, otrzymałbyś w odpowiedzi w najlepszym razie słowa oburzenia. Dziś zaś pisma tutejsze zaklinają otwarcie berlińczyków na wszystkie świętości, a więc przedewszystkiem na powodzenie wystawy, by się pozbyli swej przyrodzonej rubaszności w obec cudzoziemców, by im chętnie pokazywali drogę (Berliner Lokal-Anzeiger), by nie kpili z nich, jak to zwykli czynić (Berliner Ilustrirte Zeitung) itd. Ogłoszono w pismach niedawno instrukcye dla konduktorów tramwajowych, którzy mają obecnie nieco zwiększyć swą grzeczność. Gdy ktoś wskakuje do tramwaju i nie znajduje miejsca, nie należy go natychmiast spychać. Konduktor, zamiast wyśmiewać niezgrabnie zeskakujących pasażerów, powinien im przyjść z pomocą i pytającym udzielać żądanych informacyi. Jeżeli wszystkie te rady poskutkują, to wystawa będzie miała pedagogiczne znaczenie dla berlińczyków, gdyż obdarzy ich zaletami, które w znacznym stopniu można napotkać u francuzów, stawianych obecnie za wzór gościnności i uprzejmości berlińczykom. Wystawa jest wielką klęską dla *chambre-garnist'ow* których „Drang nach Westen“ przypada na 1-go maja. Gospodynie bowiem ze wschodniej dzielnicy Berlina, z okolicy wystawy, spodziewając się wielkich zysków od obcych, wymówiły mieszkania swym lokatorom, chambre-garnist'om, i zmusiły ich do ucieczki na zachód. W skutek tego *„Exodus'a“* nastąpi zwyżka komornego od meblowanych pokoi, nietylko w wschodniej części, lecz i w innych dzielnicach, dokąd zaczną się przenosić ofiary wystawy.

M.

TO I OWO.

Literacka „vendetta“.

Czytelnikom „Przeglądu“ znanym jest niezawodnie ów krwawy skandal, który w najświeższym czasie wydarzył się w literackim świecie Warszawy. Pan Grajnert ogłasza romans, pan Buchner redaktor „Muchy“ pisze z powodu tego satyrę, — oto zawiązek tragedyi. Powieściopisarz napada redaktora, redaktor broniąc się strzela i zabija napastnika — oto ciąg dalszy dramatu. Epilog rozegra się niebawem przed kratkami sądowemi. Jest coś potwornie bezmyślnego w tym fakcie, który sprawia śmierć jednego i karę kryminalną drugiego człowieka. Obawiam się, ażeby ten wypadek nie wywołał znów rozpraw o „honorze“ i „godności“ prasy. Nie myślę się rozwodzić ani nad jednym, ani nad drugą, bo nie lubię rozmawiać o fikcyach. Można wtenczas mówić o odpowiedzialności prasy, gdyby jej członków łączył duch korporacyjny w jakąś solidarną jedność, podległą tem samem dyscyplinie moralnej. Dziś jest to zbiór, a raczej liczba indywiduów, dobrych i złych, gorszych i lepszych, ściślejszemi i określonemi węzłami nic połączonych. Prawnej, ani etycznej osoby ten zbiór nie stanowi. Nie wylewajcie więc, szlachetni „przedstawiciele prasy“, łez krokodylich, bo kogoż właściwie czynicie odpowiedzialnym? Lecz po za tem fakt, logicznie i etycznie widziany, jest bardzo gnębiący i przykry.

Nie czytałem *Zbrodniarza, romansu z życia warszawskiego* p. Władysława Grajnerta. Kilka razy miałem w ręku *Muchę* p. Władysława Buchnera. Przypuszczam, że gdyby jeden nie napisał zbrodniarza, drugi nie redagował Muchy, gdyby jeden i drugi nic nie pisali i nic nie drukowali, umysłowość, romans lub humorystyka nasza nie byłaby przez to wiele uboższa; ci młodzi zaś, podobno energiczni i żywi ludzie, mogliby zostać pożytecznymi komuś lub czemuś pracownikami.

W tem właśnie widzę potworną bezmyślność: ci ludzie zabijają się dla jakiejś fikcyi, dlatego, że coś piszą, coś drukują, coś, co bardzo wątpliwy pożytek, pewną zaś szkodę naiwnym przynosi.

„Panie Graj, panie Nert,
Pegaz twój, to lichy Pferd
Panie Nert, panie Graj,
Dalszym ciągom pokój daj“.

Taka jest ostatnia strofka wiersza, który wywołał katastrofę. Czy tu widzicie humor, dowcip lub ironię? czy to jest pisane po polsku?

Działaczowi publicznemu wypadnie stać niekiedy cały szereg lat pod pociskami codziennych obelg. Coby to było, gdyby nie dostrzegał logicznej proporcyi między przyczyną i skutkiem, gdyby rzucał się z wściekłością za lada ukąszeniem? Doprawdy, że zawód autorski, i w mniejszym i w większym zakresie traktowany, łatwo wykoleja ludzi, niepowołanych i nieprzygotowanych do niego.

* * *

Recenzenci i aktorzy.

Przed niedawnym czasem toczyła się w sądzie wiedeńskim ciekawa, a potrosze i zabawna sprawa. Niejaki Golber, dziennikarz, nawiasem mówiąc z pod ciemnej gwiazdy, oskarżył znanego artystę dramatycznego Ferdynanda Bonna o kradzież, a mianowicie zarzucał aktorowi, że mu skradł „pojęcie“ roli Ryszarda III. Rzecz jasna, że sąd uwolnił obwinionego, w toku jednak rozpraw sądowych okazało się, iż artysta darował dziennikarzowi swoje fotografie z pełnemi zapału dedykacyami i pisywał do niego listy, w których nie szczędził mu najpochlebniejszych epitetów. Sprawa ta spowodowała znanego wiedeńskiego krytyka teatralnego Hermana Bahra do wypowiedzenia następujących, choć nie ze wszystkiem słusznych, to jednak w każdym razie oryginalnych uwag o stosunku aktorów do recenzentów wogóle:

Nie chodzi tu wyłącznie o Bonna. Cały stan aktorski zapomina w stosunkach z recenzentami i dziennikarzami zupełnie o swej godności. Należy to zaznaczyć, już z tej prostej przyczyny, aby nas usprawiedliwić, a przynajmniej uniewinnić, jeśli stopniowo pozwalamy się psuć przez aktorów.

Mówią dość powszechnie, iż dziennikarze są bezczelni. Lecz któż ich uczynił takimi? Jeśli niektórzy z nas nie posiadają się z zarozumiałości, to czyjaż w tem wina, jeśli nie tych bezustannie schlebiających, łaszących się i płaszczących histryonów? A jeśli pomiędzy nami znajdują się jeszcze spokojni i rozumni ludzie — zawdzięczają oni to samym sobie; bo aktorzy uczynili wszystko, co w ich mocy, aby nas sprowadzić na manowce.

Wobec jednostek, należących do świata dziennikarskiego, zachowują się aktorzy, jak lokaje. Publiczność szersza nie ma o tem najmniejszego wyobrażenia. Byłem jeszcze studentem, gdy pełen świętego zapału, a jednocześnie i nieświadomości, pisałem pierwsze moje recenzye.

Przybył Haase na gościnne występy, sławny Fryderyk Haase, wówczas już człowiek w podeszłych latach, który śmiało mógłby być moim dziadkiem. Byłem mało wybrednym, podobała mi się jego gra i chwaliłem go bez miary. Dnia następnego nadszedł list do redakcyi (krytyka była bezimienną), zawierający fotografię z dedykacyą: „Mojemu nieznajomemu dobroczyńcy“. Osłupiałem. A przecież „dobroczyńca“, pisze aktor, nie myśląc sobie nic przy tem. Wówczas nie wiedziałem jednak o tem. Stopniowo dopiero przekonałem się, często ku niemałemu memu smutkowi. Na fotografiach, które mam u siebie, znajduje się napis: „mojemu genialnemu przyjacielowi“. Przypatrując się im, mówię sobie często w duchu: jeśli jestem tak genialnym, jak jestem twoim przyjacielem, mój drogi, to genialność moja nie jest warta funta kłaków. Piszą do ciebie natychmiast, jeśli ich przypadkiem nie schlapiesz: „Oddałeś mi pan nieocenioną przysługę“.

Gdybyśmy wierzyć chcieli ich listom, musielibyśmy uważać się za ich nauczycieli, którym zawdzięczają wszystko; sami z siebie nie byliby niczem. Zważyć, co prawda, wypada, że słów aktorów nie trzeba brać zbyt tragicznie. Ich rzemiosło przynosi to z sobą, że zatracają poczucie słów. Przyzwyczaili się do tego stopnia posługiwać całemi mowami, że nie potrafią już ocenić wartości pojedyńczego słowa. Żaden wyraz nie jest dla nich dość silny; rzemiosło obniża u nich wartość mowy. Gdzie my powiemy: „człowiek ten nie jest dla mnie zbyt przyjemnym“, wołają oni zaraz: to łotr!; a tego, kto im odbierze rolę, uważają za swego mordercę.

Tak więc, nazywając kogoś genialnym, chcą prawdopodobnie wyrazić tylko, że nie jest on analfabetą; a kto zachowuje się wobec nich uprzejmie, tego już nazywają swym dobroczyńcą. Ale pomijając już, że nie znają najmniejszego respektu przed wielkiemi słowami, bo nie oceniają ich wartości, to nie brak i innych objawów upodlenia. Przypatrzyć się tylko potrzeba ich zachowywaniu się wobec recenzenta, dajmy na to, w kawiarni. Skoro się pojawi recenzent, rzucają się hurmem ku niemu; jeden podaje mu krzesło, drugi ognia, trzeci dziennik itp. z namaszczeniem słuchają każdego jego słowa i nagradzają homerycznym śmiechem każdy jego, choćby najmarniejszy dowcip. Jest to wprost oburzające.

Mówią wprawdzie, że biedni ci ludzie chcą żyć i nie mogą się narazić na niechęć krytyka. A jednak nie jest to wcale prawdą! Najpotężniejszy, najwpływowszy nawet recenzent nie jest w stanie zgnębić stale rzeczywiście dobrego artysty; z drugiej znów strony nie ma krytyka, któryby potrafił z marnego aktora zrobić dobrego artystę. A choćby nawet i tak było, — nie uniewinni to jeszcze żebraczych umizgów aktorskich. Piszę przecież także o malarzach, mogę szkodzić malarzom i obcuję z malarzami, a żaden z nich nie powiedział mi jeszcze, że jestem jedynym człowiekiem pod słońcem, który rozumie rzeczywiście tę sztukę, co, jak wiadomo, każdemu recenzentowi teatralnemu powtarza codziennie każdy aktor.

Samowolne to degradowanie się aktorów wytwarza też fałszywe pojęcie o stosunku pomiędzy krytycznym znawcą a tworzącym artystą. Niektórzy krytycy chcą uchodzić za nauczycieli aktorów. Jest to po prostu nonsensem. Nie było jeszcze wypadku, aby aktor „nauczył się“ czegośkolwiek z krytyki — i nieprawdą jest, jakoby kry-

tyk mógł się przyczynić do „wytworzenia“ rzeczywistego artysty. Zapewne, że recenzent powinien być nauczycielem, lecz do publiczności, nie do aktora, powinien się zwracać ze swą nauką. Publiczność powinien kształcić, publiczności może on pomagać i publiczność teatralną wytworzyć mu wolno. Nie przemawia on do aktora lecz o aktorze mówi do publiczności. Do jego zakresu należy piecza nad smakiem publicznym; niechaj temu smakowi nadaje prawa — i podług tego jedynie ocenia aktorów, o ile oni czynią zadość tym prawom. Nie jest jego rzeczą zajmować się poprawianiem, rozwijaniem i kształceniem aktorów. Zadaniem recenzenta nie jest ich uczenie, lecz sądzenie.

Wywody swe kończy Bahr następującą uwagą, dotyczącą różnicy w zadaniu krytyka a aktora:

„My wyrażamy wszystko w myślach, oni — w kształtach; a nie można myśli równać z kształtami, ani też kształtów z myślami. Tak więc jeden drugiemu nic dać, ani nic wziąć nie może — i najlepiej będzie, jeśli każdy pozostanie w swym zakresie, nie sprzecza się z drugim, trzyma się w swych granicach, tworzy dla siebie i nie przeszkadza sąsiadowi“.

NA WYŁOMIE.

(Henryk Nitschmann. — Curiosum i cud.)

Chcę dzisiaj mówić o *Henryku Nitschmannie.* Spóźniam się nieco, bo tydzień już minął od chwili, w której poeta obchodził 70 rocznicę urodzin swoich, lecz gdy słowa te zawitają w Elbląskie ustronie, gdzie Nitschmann z skrzypcami w ręku muzyką mistrzów klasycznych błogosławi wiosnę zmartwychwstającą, nie chciałbym, aby wywierały wrażenie biletu wizytowego. Nie lubię urzędowych ceremonii, nie lubię wraz z tłumem gości oddawać karty oficyalnej, i nie lubię pisać na sygnał, na komendę: — urodziny więc winszuj! Przed tygodniem nie znalazłem Nitschmanna w kałamarzu swoim, a gwałtem nie chciałem naginać myśli, błąkającej w arenie politycznych bojów, do konwencyonalnego hołdu dla mistrza-poety. Lecz dziś w starych szpargałach znalazłem ćwiartkę papieru, a na niej wierszyk maleńki, — pamiątkę z lirycznej epoki życia. Człowiek się przywięzuje do takich drobiazgów. Brzmią one jak echo wiosny umarłej i są jak kwiaty uwiędłe, na które nieraz łza gorzka się stoczy. Wierszyk o Nitschmannie, — ot! pospolitych rymów kilka — lecz rozegrały one mi w duszę jakąś muzykę, której nie słyszałem już dawno, wydarły rój wspomnień z cichego zamknięcia i myśl wróciły w te czasy, gdzie człowiek tak bezgranicznie kochał, tak gorąco marzył i tak silnie wierzył, że życie złoży mu w dani

„Die Liebe mit dem süssen Lohne,
Das Glück mit seiner Sternenkrone,
Die Wahrheit in der Sonne Glanz.“

To wszystko się rozwiało — bańki mydlane! Została garść poezyi, niemych świadków dawnych porywów, a wśród tych pamiątek wierszyk o Nitschmannie.

Pamiętam, — byłem wonczas prymanerem, — gdy wpadł mi poraz pierwszy do ręki „Polski Parnas“ tego poety. Wczytywałem się długo w czarujące dźwięki Nitschmannowskich przekładów, — jak ten język twardy gnie się pod jego piórem, jak wzbiera falą płomienną, jak łka i śpiewa! Więc i dusza młodego chłopca rozśpiewała się w tym Parnasie i w szczerych, choć nieudolnych strofach wypowiedziała swoją cześć i miłość temu, co z poezyą narodu polskiego w ręku stawać miał na ziemi niemieckiej i wołać:

„Kto mówi, że umarł? On śpiewa swe dumy,
Kamienie słuchają i płaczą,
I dęby germańskie rozwiały swe szumy
W pieśń wielką nad rzeszą tułaczą.“

Mój Boże! Wonczas wierzyłem jeszcze, że pieśnią natchnioną można zmienić kierunek polityki, wierzyłem, że gdy najszlachetniejsze syny narodu niemieckiego potężnym głosem poezyi wniosą orędzie za Polską, — to kanclerz żelazny, zamiast zgrzytającego „Ausrotten“, zanuci piosnkę legionów. Cóż chcecie? miałem lat 18. Kochałem Nitschmanna nietylko jako poetę, lecz jako obrońcę ojczyzny naszej i wierzyłem święcie, że przekłady jego zbudzą ten sam entuzyazm dla sprawy polskiej, jak niegdyś poezye Mosena, Platena, Gottschalla i Malwitza.

Z tych uczuć popłynął mój wierszyk. Posłałem go Nitschmannowi, a przewidując z góry, że powita Horacyuszowskim uśmiechem tę prymanerską poezyę, wypisałem na czele własne jego słowa z przekładów „Hymnów boleści“ Kraszewskiego:

„Klängen jemals meine Lieder
So aus meiner Seele wieder
Wie sie Gott hineingesenkt!
Ach, es sind ja jene Laute,
Die, was tief mein Herz erbaute,
Künden sollen, so beschränkt;
Können blass und ohne Leben
Weder mich noch euch erheben.

Być może, że cytat ten pogodził ze mną poetę, chociaż — przyznaję to dzisiaj otwarcie — „Hymny boleści“ nie należą do najcenniejszych perełek „Polskiego Parnasu“. Są tam inne melodye o dźwięku przedziwnie pięknym, tak pełne, subtelne i tak wierne w naśladownictwie swojem, że gdyby zginęły orginały, możnaby je prawie według przekładów odtworzyć. Od lat kilkunastu niestety zamilkła lutnia Nitschmanna, — literatura polska pozostała jednak jego ulubionem zajęciem. Rezultat badań swoich złożył on w historyi piśmiennictwa naszego, wydanej w Lipsku w r. 1888, a książka ta, lubo orginalnych przyczynków nie zawiera, jest znakomitym pośrednikiem między narodem polskim a niemieckim. Nitschmann zna nietylko literaturę naszą, lecz zna lud, zna dzieje, zna charakter Polaków, i pisząc historyę piśmiennictwa, złożył w niej psychologię narodu. Na palecie stylu swojego posiada Elbląski poeta Makartowskie barwy, a niekiedy takim blaskiem rozświetli głębiny poezyi polskiej, taką plastykę wydobędzie w sylwetkach ludzi i charaktery styce utworów, że równie intenzywnych świateł i silnych konturów szukamy napróżno w polskich podręcznikach literatury. Te same zalety spotykamy w interesujących artykułach Nitschmanna, rozrzuconych po fachowych czasopismach jak: Centralblatt für Literatur, Allgemeine Kunstchronik, Magazin für Literatur des Auslandes, itd. Są tam świetne przeglądy najświeższych wydawnictw polskich, zdradzające wybredny smak subtelnego estetyka, i jest jakieś wielkie tchnienie humanitarne, unoszące się wysoko ponad skłóconym gwarem szkół i obozów, ponad klatkami koteryi, ponad zgrzytem stronniczych uprzedzeń. Nitschmann czci piękno, gdziekolwiek je znajdzie, czy w chrześciańskim kościele, czy w świątyni pogańskiej, czy u wyznawców starego porządku, czy pod czerwonym sztandarem rewolucyi. To duch helleński, umysł słoneczny i wielki, kochający poezyę i piękno.

A jednak właśnie te najjaśniejsze strony talentu i krytycyzmu jego zgotowały mu u jednego z poznańskich heroldów klerykalizmu i lojalizmu kwaśną przyganę. Pan dr. Władysław Łebiński uważał za stosowne przyczepić do artykułu o Nitschmannie, zamieszczonego w „Kraju“ petersburskim, następującą uwagę:

„Człowiek pracujący w danym kierunku na polu literatury polskiej, musiał oczywiście szukać stosunków z uczonymi i literatami polskimi. *O ile ich znaleźć nie mógł w mniej dostępnych zwykle „wyżynach“, o tyle narażony być musiał na wpływ chętnie się nastręczających „żywiołów minorum gentium, spokrewnionych duchem z politycznym i literackim liberalizmem niemieckim“.*

Dziwne te słowa brzmią tem dziwniej w ustach człowieka, który niedawno jeszcze należał do wyznawców najskrajniejszego liberalizmu i w ś. p. postępowym „Dzienniku Poznańskim“ oraz w redagowanym przez siebie „Wiarusie“ bił się z klerykalnem stronnictwem w obronie wolnodumstwa swojego. I stał się cud! Pan dr. Łebiński należał wonczas według własnego wyznania do literackich *„żywiołów minorum gentium“*, lecz skoro tylko poczuł w sobie święty płomień nawrócenia, wstąpił w mgnieniu oka na literackie „wyżyny“. Jest zatem recepta na talent. Klerykalizm to balon wznoszący w mgnieniu oka każdą miernotę na szczyty nauki i sztuki. Panie Rozbicki! jeżeli jesteś liberałem, nawróć się, a ręczę ci, że jutro, według recepty p. Łebińskiego, zostaniesz Mickiewiczem.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Część trupy poznańskiej urządziła kilka przedstawień w Gnieźnie z średniem powodzeniem. W najbliższy poniedziałek rozpoczyna się stała wędrówka artystów naszych po miastach prowincyonalnych. — Dziś w sobotę, urządza miejscowe Tow. Sokół koncert na sali Lamberta. Program jest nader urozmaicony, a popyt na bilety wielki. — W Warszawie odbył się koncert jubileuszowy Towarzystwa muzycznego. W koncercie tym przyjęło udział dwóch dawniejszych dyrektorów: Wieniawski i Zeleński, oraz obecny dyrektor Noskowski. — Dzięki energicznej inicyatywie pp. Konopaska i Pileckiego złożył komitet warszawskiej wystawy hygienicznej orkiestrę z żywiołów miejscowych, liczącą obecnie 50 członków. Utrzymanie tej orkiestry kosztować będzie 30000 rsr. — Wobec niechęci ujawniających się w szerokich kołach do obecnego kierownictwa sceny poznańskiej, pożądanem jest, aby reflektanci do berła dyrektorskiego w teatrze poznańskim w jak najkrótszym czasie składali oferty swoje do rady nadzorczej. Nadmieniamy, że roczna subwencya, udzielana przez Tow. Pomoc, wynosi obecnie 7000 mrk., a wzrośnie niebawem do 9000. Dyrektor nie potrzebuje rozporządzać wielkiemi kapitałami. Posiadając kilka tysięcy marek na kaucyę i odświeżenie garderoby, sprężysty i fachowy kierownik może objąć ster teatru naszego z znacznemi widokami finansowego powodzenia. Rada nadzorcza jedynie z tego powodu nie usunęła dotychczas pana Dobrowolskiego, że nie zgłosił się żaden kandydat na urząd dyrektora.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Muzyk. To twierdzenie Kuryera jest błędnem. Literatura polska posiada „Historyę muzyki“ przez Karasowskiego, oraz dzieło Brendla, przełożone i uzupełnione przez Zeleńskiego. Oprócz tego mamy kilka cennych monografii z dziedziny historyi muzyki (Szulz, Karasowski).

Autor „Listu z Poznania“. Znamy dobrze naiwność tych osób, graniczącą z megalomanią. Niebawem znajdziemy sposobność ogłoszenia w tej kwestyi kilku ciekawych rewelacyi i dla tego uwag Pańskich na razie nie zamieszczamy. Satyryczny wierszyk Pański o „masculinum, femininum i neutrum“ nie kwalifikuje się do pisma naszego.

Abonentka. Życzeniu pani stało się zadość w niniejszym numerze. Przekładów z angielskiego na razie przyjąć nie możemy, bo posiadamy w biurku kilka orginalnych utworów.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28